Numer 14. | Nal. poczt. opł. rycz. | Dnia 7 Kwietnia 1929



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Kłopot z trzecim.

W wagonie żydek zachwala miasteczko Brody, z którego sam pochodzi. Jeden z pasażerów odzywa się z pogardą o tem miasteczku, mówiąc, że w Brodach są sami złodzieje. Zaperzony żydek woła:

— Ja się z panem założę, o co pan tylko chce, że tam jest stu uczciwych i solidnych kupców!

— Nie zakładaj się pan o stu, pokaż pan choć trzech uczciwych.

— Jakto trzech! A Icek Kokiet, no, czy to nie jest uczciwy kupiec?

— Icek Kokiet. Hm, no ujdzie. Kto dalej?

— A Izydor Fleischer, albo to też nie porządny kupiec?

— Izydor Fleischer? Niech będzie. No, a trzeci?

— Proszę pana, a czy ten trzeci nie mógłby być z Tarnopola?



Oszczędni.

Stary Fajgenduft umiera; przy stole siedzą jego trzej synowie i naradzają się nad tem, jaki ojcu urządzić pogrzeb.

— Dostaniemy wprawdzie po ojcu ładne pieniądze — powiada pierwszy, ale szkoda wyrzucać pieniądze.

— Teraz ciężkie czasy — powiada drugi.

— Ojciec nigdy nie lubił zbytku — mówi trzeci.

Na to podnosi się z łóżka stary Fajgenduft i odzywa się ze złością:

— Możebyście chcieli, żebym piechotą poszedł na cmentarz?!

Dobry ojciec rodziny.

Sędzia do aresztowanego:

— Co to?... Zaraz w pierwszym dniu po uwolnieniu z więzienia, znowuście skradli?

— Przecież, panie sędzio, należało rodzinie coś przynieść w podarku.

Szczyt roztargnienia.

Żony pastora, lekarza i podróżującego mówią o roztargnieniu swych mężów.

Żona pastora twierdzi, że pierwszeństwo należy się pastorowi, który często w drodze do kościoła zapomina całe kazanie, tak, iż wierni nie wiedzą potem zupełnie, o czem mówi. Żona lekarza opowiada, że mąż jej wyjeżdżając na wieś, zapomina zabrać lekarstwa i instrumenty i dopiero od łoża chorego wraca po nie do domu.

— To nic — powiada żona podróżującego — mój mąż, kiedy ostatni raz wrócił z dłuższej podróży, pogłaskał mnie po twarzy i mówi: zdaje mi się, że cię już gdzieś widziałem, moja mała. Jak ci na imię?



Też szczęście.

— Jak dawno umarł wasz chłop?

— W dwa dni po ślubie.

— Przynajmniej się nie nacierpiał dużo.

Numer 14. Rok XII. Kraków, dnia 7 Kwietnia 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara ocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Okres Wielkanocny.

Okres wielkanocny trwa nietylko podczas samych świąt Wielkiej Nocy, ale przed nią i po niej. Wszystkie uroczysśości wielkiego tygodnia są niejako przygotowaniem do samego Zmartwychwstania Pana Jezusa, zaś po Wielkanocy następują już nietyle uroczystości kościelne, co dawne zwyczaje, jeszcze po dziśdzień w Polsce obchodzone.

Do takich zwyczajów należy barwienie jaj, zwanych później pisankami. Ciekawą rzeczą jest, kiedy pierwsze pisanki powstały. Otóż dawna legenda powiada, że gdy Marja Magdalena dowiedziała się o Zmartwychwstaniu Pana Jezusa i pobiegła do domu, zastała w izbie swej pozostawione tam jaja ubarwione na czerwono. Gdy wyszła z nimi przed dom, napotkała Apostołów i poczęła im te jajka rozdawać, głosząc o Zmartwychwstaniu Pańskiem. Jajka w ręku Apostołów przemieniły się w ptaki na świadectwo, że taksamo i ze śmierci Chrystusa powstał żywot wieczny dla ludzi.

Drugim zwyczajem wielkanocnym to jest Dyngus, czyli Śmigus. Kiedy i w jakim celu on powstał, trudno zbadać. Jak przypuszczają, jest to zwyczaj pogański, który przypomina nam Indów, stojących nad wodą Gangesu, u brzegów świętej rzeki, i czerpiących z niej wodę, którą polewają się i kąpią w jej nurtach. Kąpiel taka według ich wierzenia zmazuje wszystkie grzechy.

W niektórych okolicach w niedzielę Wielką o zmroku lud wychodzi w pole, niosąc ze sobą wodę święconą i krzyżyki z cierni głogowych, poświęconych w Wielki Piątek. Przy śpiewie każdy obchodzi własne pole, wbija w ziemię krzyżyki, oraz święci rolę wodą. Młodzież strzela wówczas noc całą, a skoro świt nastaje, biegną chłopaki do chałup, by zlewać dziewczęta.

W Krakowie na Zwierzyńcu w drugi dzień świąt Wielkanocnych obchodzą uroczyście Emaus. Jest to zarazem święto kościelne i narodowe. W kościele obchodzą je na pamiątkę spotkania się Pana Jezusa z uczniami po Swem Zmartwychwstaniu na drodze do Emaus. Ale oprócz uroczystości kościelnej był tu, przynajmniej dawniej, bo już teraz zanikł, zwyczaj, że młodzież, idąc na Emaus, brała ze sobą rózgi wierzbowe z rozwiniętemi baziami, a spotkawszy dziewczynę, uderzała ją tą rózgą, mówiąc do niej:

— Czemuż nierychło na Emaus.

Do narodowych zwyczajów wielkanocnych należy również krakowska Rękawka. Dziś nie jest ona taką, jak dawniej była. Za dawnych czasów na skale, na Krzemionkach gromadziły się tłumy ludności, a u stóp skały biedota wszelkiego rodzaju. I dla tej biedoty rzucano z góry jaja, bułki, jabłka i inne przedmioty. Oczywiście prócz chęci obdarzenia najbiedniejszych podarkami zgromadzeni mieli na celu i własną zabawę. Rzucając swoje dary w tłumy zgromadzonego żebractwa, mieli sto pociech, jak to wszystko na dole walczyło ze sobą o każdy drobiazg. Oprócz tego chłopcy wyprawiali dla uciechy publiczności sztuczki i staczali drobne utarczki.

Nazwa tego zwyczaju pochodzi od mogiły Krakusa, którą lud usypał, nosząc na nią ziemię w rękawach.

Dziś zwyczaj ten został już zaniechany. We wtorek po Wielkanocy odbywa się tam nabożeństwo w kościółku św. Benedykta, a po nabożeństwie zwykły kiermasz, jak i w czasie innych odpustów. Jeszcze tam zagra muzyka, jeszcze pojawi się jakaś karuzela, ale nie jest to już to, co dawniej było.

„Tempora mutantur, et nos mutamur in illis" — powiada łacińskie przysłowie. Czasy się zmieniają i my się w nich zmieniamy, ale zmieniamy się na gorsze. Dawne zwyczaje i zabawy zastępujemy pijatykami i bijatykami, dawne niewinne zabawy, zajmuje zgorszenie i obraza Boska.

JÓZEF DZIERZKOWSKI.

Król Dziadów.

Powieść obyczajowa.

To było zapewne przeczucie.

— Pani bratowa daruje — mówił major, a w głosie jego najpocieszniej łączyła się szorstkość żołnierza z jego do bratowej czułem przywiązaniem — ale nie godzi się wierzyć, w jakieś tam przeczucia. Pfe, bratowo!... No! no! nie trzeba płakać.

Matka nic nie odpowiedziała, ale łez powstrzymać nie mogła. Biedny major nieraz musiał uciekać, czując z niemałym wstydem dla swojej wojskowej powagi, że i jemu zwilżają się oczy.

Nawet i sam hrabia Ignacy znacznie posmutniał, co objawiał ciągłem zrzędzeniem na żonę i brata, zarzucając im, że to oni swojemi pieszczotami i wychowaniem, jakie przeciw jego woli dali Eugenjuszowi, są przyczyną wszystkiego złego.

W takiem to usposobieniu zastajemy pana Ignacego w jego gabinecie, gdzie teraz samotnie przesiadywał, bo ani żona, ani major do salonu nie przychodzili.

Tym razem, prócz zaprzepaszczenia się syna, miał inne jeszcze powody do smutku i rozmyślań, i to powody natury poważnej. Leżał właśnie przed nim list ze stolicy, pisany przez plenipotenta.

Wiadomości plenipotenta były bardzo smutne, a mianowicie donosił, że Szmul Łapsiewicz wyrobił sobie sekwestrację wszystkich ruchomości, czego ma dokonać komornik Rozbójski, znany ze swej komorniczej akuratności.

Odebrawszy takie wieści, pan Ignacy darmo suszył sobie głowę, jakimby sposobem ratować się jeszcze. Droga tak wygodna i tak wypraktykowana przez naszych adwokatów, droga delacji, już była dlań zamknięta.

Położenie hrabiego było rzeczywiście opłakane. — Rozpacz pana Ignacego była rozpaczą ludzi, słabym i chwiejnym obdarzonych charakterem. On się zżymał i gniewał na świat cały, wszędzie szukał winy, a najwięcej u tych, którzy nie chcą mu pożyczać na zapłacenie lichwiarzy.

Tak obwiniając innych o upadek swej fortuny, a nie biorąc się sam do ratowania jej, bił się pan Ignacy z myślami, a tymczasem godzina zbiegała za godziną. Nie widział żadnego sposobu ratunku.

W takiem był usposobieniu, gdy się otworzyły nagle drzwi i wszedł przez nie Srul Feigele. Ze zwykłem u żydów uszanowaniem, które jest raczej u nich dowodem tchórzostwa, skłonił się nisko, a nawet jarmułkę zdjął, a przecież nie mógł wytrzymać, by nie spojrzeć szyderczym wzrokiem na stroskaną twarz pana Ignacego.

— Padam do nóg jaśnie wielmożnego...

— Głupiś! — zawołał pan Ignacy zniecierpliwiony — lepiejbyś nie padał do nóg, a coś poradził.

— Aj waj! ja od rady nie uciekam.

— Lub pomógł!... A pewien jestem, że już wiesz, co się ma tu stać za dni parę.

— Coś to ja słyszał!... Ale co ja na to pomódz mogę?

— Wy zawsze wiecie, gdzie dostać pieniędzy.

— Ny! my wiemy, ale jakiego hypoteka?

— Więc czegóż mnie nudzisz i po co przyjechałeś tu do mnie?

Żyd popatrzył z pod oka na pana Ignacego, łypnął oczyma i zbliżywszy się do niego, rzekł:

— Jaby miał pieniędzy!

— Gdzie? — zawołał hrabia z rozpaczą tonącego, któremu i brzytwa zdaje się być ratunkiem.

— Jaby wiedział, gdzie znaleźć, żeby tylko była odwaga...

— Jaka odwaga? Nie rozumiem...

— Ja jaśnie panu już podobno opowiadał, że Wiciewicz ma grube pieniądze...

— I cóż z tego? — zapytał pan Ignacy, strzygąc uszyma.

— I że wun myśli je zakopywać...

— Więc?

— Już wun zakopywał.

— I cóż mnie do tego? Co to może mi pomódz?

— I ja wiem, gdzie zakopywał...

— Wiesz? — zawołał pan Ignacy, podnosząc głos. To odkopiesz — dodał ciszej i niby od niechcenia, niby pogardliwie.

— Kiedy ja się boję!...

— Na to ja nie poradzę, mój panie Srulu — mówił pan Ignacy, śmiejąc się półgębkiem. — I dlaczegóż ty się boisz?

— Bo to miejsce straszne, gdzie on zakopywał.

— Miejsce straszne znowu! Ty jesteś doskonały, Srulu! Alboż to miejsce może być straszne?

— A pasieka!...

— Pasieka? — przemówił pan Ignacy nagle i pobladł.

— Pasieka Wiciewicza... tam pod monasterem, gdzie, jak mówią, djabli wzięli jakiegoś pana, co tam miał zamek.

— Nie pana!... to żyda z karczmy porwali! — mówił pan Wyżyński żartem niby, a głos jego drżał widocznie.

Nastała chwila milczenia. Obaj popatrzyli na się z uwagą. Ale pan Ignacy zaraz się odwrócił ku stolikowi, jak gdyby szukał jakich papierów.

— Więc się boisz mój Srulu? — ozwał się pierwszy, widząc, że Srul uporczywie milczy.

— I nie wiem, w którem miejscu, bo pasieka jest obszerna.

— A tak?...

— I sam w nocy, to jakoś bardzo straszno... Ot tak, proszę jaśnego pana, żeby z kim drugim...

— Ale cóż mnie to obchodzi? — mówił pan Ignacy z wzrastającą niecierpliwością.

— Ja sobie tak myślał, że gdyby tak kto bardzo gwałtownie potrzebował pieniędzy... to... to...

— Kończ, panie Srulu.

— To... tobyśmy razem mogli pójść w nocy... i...

— Skończ już raz.

— I... uważa jasny pan... podzielić się...

— No proszę! Ale z kim?

— Z kim?... Nu, jasny pan się nie domyśla?

— Nie jestem bardzo domyślny.

— Nu, jasny pan tylko co mówił, że tak bardzo potrzebujący jesteś...

— Słuchajno, żydzie! — zawołał namiętnie pan Ignacy, przybierając postawę dumną, obrażoną i rozgniewaną.

— Nie chcę się domyślać, bo nie chcę nic mieć z tobą do czynienia. Ale przypominam ci, że jeszcze mam ludzi, którzy cię za uszy wyprowadzą z mego domu...

— Jakto? jasny pan nie chce? — przemówił znowu żyd, wpatrując się w pana Ignacego wzrokiem napół zadziwionym, napół niedowierzającym.

— O tego nadto! — wykrzyknął pan Ignacy, tupiąc nogą i przyskakując do Srula z taką zapalczy-

wością, że się ten aż cofnął ku drzwiom. Oburzenie to, prawdziwe czy udane, po mistrzowsku było oddane.

— A teraz precz, pókiś cały, bo nie ręczę za siebie!

— Ale jasny panie, tam musi być z jakich kilkakroć.

— Idź precz, mówię ci!... Ty śmiesz mi mówić i proponować rzeczy...

To rzekłszy, podniósł rękę do dzwonka z wyrazem tak groźnym, że żyd, naprawdę przestraszony, umknął i co prędzej drzwi za sobą zatrzasnął.

Pan Wyżyński po wyjściu żyda uspokoił się w jednej chwili. Czas jakiś patrzył ku drzwiom, jak gdyby śledził kroki uciekającego.

Żyd tymczasem szybkim krokiem spieszył do swojej bryczki.

— Aj waj! ja podobno głupstwo zrobił — mówił sam do siebie. — A jak wun sam spróbuje?... Do Wiciewicza jechać? Nu, ten sknera, nie da nic za przestrzeżenie. Samemu iść tam?... Gewałt! ja się boję. A więc... achesmir, już go mam, już wiem... Ja pójdę do Wasyla!

Po tym monologu wskoczył do bryczki i, zacinając biczykiem konia, pędził, o ile mógł najprędzej, w stronę pasieki...

Tego samego dnia wieczorem w pokoju pani Wyżyńskiej siedział major z bratową. Pani Zofja cały dzień była cierpiąca i nie wychodziła z pokoju swego.

— Bratowa jesteś cierpiąca — przerwał major milczenie.

— Może chcesz już odpocząć?

— Nie jestem już cierpiąca. I twoje towarzystwo, kochany bracie, sprawia mi wielką przyjemność.

— A przecież smutek twój, kochana bratowo, przeczy temu, co mówisz.

— Ty, bracie, nie wiesz wszystkiego i pojąć nie możesz, jak mi jasno przed oczyma stoją przyczyny zniknięcia Eugenjusza.

— Wierzę... i szczerze powiadam, że wiedzieć nie chcę, jeżeli to ma być tajemnicą.

— I owszem, mnie to dawno ciężyło na sercu, i dziś czas, bym wszystko powiedziała. Słuchaj, kochany majorze: Jeżelim dotąd milczała, to dlatego, że się to tyczyło twego brata.

— I pewno nie jest to nic takiego, coby mu zaszczyt przynosić mogło.

— Posłuchaj. Znasz bracie, tak zwanego króla dziadów, o którego z takiem zajęciem pytał się Eugenjusz.

— Król dziadów! — zawołał zdziwiony major. — A gdy się Eugenjusz pytał, widziałem szczególne pomieszanie na twarzy Ignacego i...

— I na mojej... Tak jest... Ten król dziadów jest człowiekiem niezwykłych zdolności, mimo stanu niskiego, w jakim się urodził. Ojciec mego męża lubił go bardzo. I król dziadów miał szczególne przywiązanie do kasztelana. To też po śmierci tegoż, całą swoją miłość zwrócił na syna jego Ignacego, choć ten postępowaniem swojem na to nie zasłużył. Graf Ignacy idąc za radą Srula, nie wahał się zwrócić do Wasyla z prośbą o udzielenie mu tego wspólnego żebraków funduszu.

Miało więc tak być, że król dziadów zaprowadził go do jakiejś starej piwnicy, gdzieś tam w pasiece, i tam mu tajemnie z owej kasy pożyczył pewną znaczną kwotę, która ledwie czwartą część całej kasy stanowiła. I pożyczył mu bez kwitka na proste przyrzeczenie. W kilka dni później... Lecz prawdziwie nie wiem, czy mam kończyć...

— Mów bratowo. Jestem przygotowany do najgorszych rzeczy...

— Przychodzi więc król dziadów do swojej schowki, ale już ani śladu nie zastał pieniędzy. Stary Wasyl przychodzi więc do Ignacego upominać się. Ten zaś nietylko, że go wyłajał i zagroził sądem za podejrzenie, ale zaparł się nawet pożyczonych pieniędzy.

Wtedy król dziadów zaprzysiągł mu zemstę...

I odtąd każdego roku przychodził jakiś żebrak od króla dziadów z przypomnieniem mściwej obietnicy. I wyobraź sobie mój bracie, od czasu urodzenia Eugenjusza poselstwo to złowrogie ustało zupełnie.

— I skądże bratowa zna tak dobrze te wszystkie szczegóły?

— Zaraz opowiem. Ty bracie właśnie gdzieś wyjechałeś a i Ignacy się gdzieś oddalił, gdy urodził się Eugenjusz. Byłam sama jedna. Szukałam mamki. Wówczas to przychodzi do mnie kobieta młoda, bardzo piękna. Nie zasięgając więc niczyjej rady, przyjęłam tę kobietę i powierzyłam jej syna. To była szczególna fatalność.

— Fatalność?

— Tak, kobieta owa była wnuczką króla dziadów i od niej dowiedziałam się o wszystkiem.

— Ale po tem właśnie opowiedzeniu nie należało już trzymać tej mamki.

— Ja też powtarzam, że była w tem fatalność. Coś dziwnego ciągnęło mnie do niej i... zdało mi się, że, trzymając ją w domu, przebłagam zemstę zaprzysiężoną...

— I jak się zdaje, udało się to bratowej, bo nic się dotąd z tej zemsty nie wykluło.

— A zniknięcie Eugenjusza?

— Miałożby ono być skutkiem tej zemsty?

— A jednak jest w tem coś wspólnego. I blade, zadumane czoło oparła na ręce. Oboje milczeli.

Nagle milczenie zostało przerwane, wejściem starego Marcina, sługi pana majora, który stanął z listem w ręku przed majorem.

Major list rozerwał...

Był to list od Eugenjusza, w którym zawiadamiał o swej miłości do Hani, a także donosił o skarbie ukrytym przez Wiciewicza, a który może zaginąć, ponieważ już kilka osób wie o ukryciu.

Major pożegnał bratową i miał udać się zaraz w podróż, przedtem jednak chciał zawiadomić brata o odnalezieniu Eugenjusza.

Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy dowiedział się od służącego, że pan graf poszedł na przechadzkę.

— Dokąd on mógł pójść? — rzuciła pytanie pani Wyżyńska głosem zmienionym. Bo i ją, choć nie wiedziała czemu, mimowolna przejęła trwoga.

— Chciał się przejść i wkrótce wróci zapewne. Niech bratowa położy się. Ja jadę zaraz.

I spiął konia ostrogami. Za nim jechał Marcin z miną poważną, trzymając konia zapasowego, owego znanego nam karoska, który był przygotowany dla Eugenjusza.

Równocześnie wysłał posłańca do Wiciewicza, donosząc mu w krótkich słowach, co usłyszał o zakopanym przez niego skarbie.

(Dokończenie nastąpi).

Upokorzony.

Miało się pod wieczór.

Po śnieżnych djamentowych pyłach rozsypanych wszędzie jednostajną warstwą migotało złotemi promieniami zachodzące słońce...

Ogrzane nieco powietrze całodziennem słońcem chwycone teraz niewielkim mrozem było rześkie i zdrowe. Drożyną ciągnącą do jednej z wiosek podolskich, szedł pochyły, bieluśki jak śnieg — jak ta zima, starzec o kosturze. Wracał do rodzinnej swej wioski, którą niegdyś, tak dawno hańbił. Wiodła go do niej półwiekowa brzemienna tęsknota, którą przeżył na pokucie w obczyźnie i ciężkie sumienie w duszy, dopominające się z krzykiem przebaczenia za winy od pokrzywdzonych ludzi.

Oj żałował, żałował za te krzywdy, co niemiara. Stracił marnie swoją młodość, siły, złamał życie sobie, ojcu i swej żonie, a wszystko przez wódkę, w której nie znał miary. Przepił cały majątek i został dziadem. Wszystko przepadło na wieki. Jędrzej Zagóra — on to był, westchnął ciężko, a gorzko:

— Boże nie znałem wtedy Ciebie, przebacz!

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

W dwudziestej wiośnie życia ożenił się. Z początku żył w zgodzie z żoną i szanował swego ojca, który miał przy nim spokojnie przeżyć swą starość. Cieszył się ojciec z dobrego syna, który okazywał mu życzliwość, cieszyła się żona jego, że Bóg błogosławi ich szczerą miłość. Lecz krótka była chwila tego szczęścia rodzinnego, bo po dwóch latach młody Zagóra rozpił się bez miary, bez opamiętania. Wyrzucił z chaty ojca, który wkrótce umarł z wielkiego żalu. Zaczął bić żonę bez miłosierdzia, aż ją po roku zabił, potem począł krzywdzić ludzi różnemi wybrykami. Wódka go tak rozłajdaczyła, że zapomniał o Bogu — stracił wiarę. Potępił go ksiądz z ambony, przeklęła go wioska i zamknęła przed nim swe serca. A kiedy przechodził ulicami, nikt mu dobrego słowa nie rzekł, tylko wytykano go palcem i wołano:

— O, widzicie poszedł do karczmy Jędruch, zbój!...

Ale „Jędruch" ogłupiały przez wódkę nie miał wstydu przed ludźmi, ani nie znał pokory. Wkońcu poszło za wódkę pole, dom i cała ojcowizna zapracowana uczciwie. Aż pewnego dnia poszedł Zagóra w świat, w świat daleki na żebry, w jednej koszulinie i potarganem ubraniu, wygnany z rodzinnej wioski wyrokiem gniewu Bożego. Cała wieś śmiała się do rozpuku z wyrodnego syna, a tam w grobie rwało się ojcowskie serce, które się poruszyło z bezkresnego żalu. — Tymczasem lata przemijały... We wiosce wspomniano jeszcze od czasu do czasu o „Jędruchu, zbóju" i stawiano go na przestrogę zgorszonym dzieciom. Wreszcie gdy wymarli starzy, w młodem pokoleniu zatarła się o nim pamięć. — A Zagóra chodził po świecie po żebranym chlebie i borykał się z ciężkiem życiem. Po latach niedoli odnalazł znów w swem cierpieniu Boga, o którym był zapomniał i upokorzył się przed Nim z prawdziwą skruchą i żalem w sercu. A kiedy odpokutował za swe grzechy, zapragnął jeszcze nim odejdzie z tego świata wrócić do rodzinnej wioski, by wyżebrać od pokrzywdzonych ludzi ziemskie przebaczenie, pojednać się z ziemią, którą przeklął i złożyć w ojcowiźnie swe kości, choć dusza drżała z bojaźni przed wyrokiem Sprawiedliwego, który lada chwila zażąda porachunku z życia.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

I oto wracał teraz zimową porą po półwiekowej tułaczce po świecie i szczerego żalu za winy. Wracał nie „Jędruch, zbój" jak dawniej, ale Jędrzej Zagóra, upokorzony przed Bogiem, nawrócony do wiary i ludzi, ze skruszonem sercem... Słońce, zachodząc za widnokrąg ziemi, igrało po śniegu różowemi promieniami... Dookoła panowała śmiertelna cisza snu zimowego, przerywana tylko stąpaniem obutych nóg Jędrzeja. Ledwo, że wlókł już zgrzybiałe kości po kilkunastodniowej swej wędrwce, lecz był to już jej kres, bo się zbliżał do krzyża zawiejskiego, który rozpoczynał rodzinne pola. Stał pochylony od starości w jasnych promieniach zachodu, z otwartemi ramionami dla wszystkich, jak zawsze. Na jego widok zabiło żywiej serce Jędrzeja, a w duszę wstąpiła jakaś odżywcza moc. Zdjął z głowy potarganą czapkę i żegnając się krzyżem wiary, powitał ze łzami w oczach rodzinne strony, wołając słowami pojednania:

— Witaj droga ziemio moja i ty wiosko skrzywdzona! Wraca syn marnotrawny, lecz upokorzony, przebacz mu!

Wypuścił z rąk kostur i czapkę, objął staremi ramionami krzyż i całował mocno stopy Męki Pańskiej. Potem upadł na śnieżną biel, odgarnął śnieg, pocałował gorąco ziemię żywicielkę, którą w młodości sponiewierał i podniósł się na kolana mówiąc głośno pacierz: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się Imię Twoje..."

Dogorywające słońce, chcące uczcić Świętość tej modlitwy, ucałowało w ciszy ostatniemi promieniami Mękę Pańską i pochyliło nisko jasną głowę...

— Ale nas zbaw ode złego, amen — kończył upokorzony modlitwę, a z jego pobladłych ócz, wpatrzonych słodko w Chrystusa, płynęły po twarzy grube łzy, jak groch, błagające litości... Słońce zaszło.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Jędrzej Zagóra podniósł się, ucałował Sprawiedliwego, włożył na siwą głowę czapkę, wziął do ręki kostur i powlókł się wolno, z trudem do rodzinnej wioski, w której wieśniaczki, wijąc na kołowrotkach szarą nić z przędzy lnu, prawiły dzieciom legendę urobioną z życia „Jędrucha, zbója".

Szary zmrok zimowy spływał powolnie na świat i rozsnuwał wieczorną ciszę, w której zdawało się dosłyszeć słowa rozpiętego na krzyżu Chrystusa:

— Ojcze przebacz mu, gdyż nie wiedział, co czynił. *Józef Pachołek.*

Na rolę...



Na rolę potem uznojoną,
Na rolę czarną,
Chłop rzuca ziarno,
Na dolę ciężką, niewiadomą...

Prawicą zgrzebną, utrudzoną,
Rozrzuca ziarno na zagony,
Oczyma duszy zapatrzony
W przyszłość daleką, niezgłębioną...

Bo, czy nie zniszczą prac, nadziei,
Posuchy, grady, rzek wylewy?
A jego pracę, jego siewy
Zginą wśród życia zawieji.

Więc się zadumał siewca stary,
Czy ziemia zwróci siew rzucony?...
Czy nie zawiodą te zagony
Jego nadziei, jego wiary?...

O, ziemio! ziemio!... o, zagony!
O słońce jasne, o niebiosy!
Nie skąpcie łanom ciepła, rosy,
Pomnóżcie stokroć siewcy plony,
Niech trud mu będzie nagrodzony.

Józef Kowalik.

IDŹ, CHŁOPKU POLSKI, NA TE ZAGONY...



Zabłysło słonko, słonko wiosenne i pokłon w stronę rolnika śle, by rzucił swoje troski codzienne i na trud nowy gotował się.

Stopniały śniegi, co kryły ziemię grubą powłoką przez tyle dni. I już ta ziemia więcej nie drzemie, lecz wstaje ze snu, budzi się, drży.

I wnet zabłyśnie barwnemi kwiaty, kwieciem ustroji ruń naszych łąk, lecz nam nie patrzyć w kwiatów szkarłaty i założonych nie trzymać rąk.

Przed nami staje praca mozolna, co krew wyciskać będzie nam z żył, bo na nas czeka ta niwa rolna i czeka naszych mocarnych sił.

Więc dalej, chłopku, chłopku siermiężny, ujmuj w swe dłonie błyszczący pług, ty, jako rycerz pól tych orężny, idź ziemi spłacić praojców dług!

Idź, chłopku polski, na te zagony, co jak stal pługa w słońcu się lśnią. Idź i pruj niwę, aże strudzony sam swoje kości położysz w nią.

Choćby ci burza wyła nad głową, choćby huragan w barki twe bił, ty płuż tę świętą ziemię ojcową, ile ci tylko wystarczy sił.

I rzucaj ziarno ciągle w tę ziemię, nie pytaj, jaki spotka je los: niech sobie ono w ziemi podrzemie, póki w złocisty nie strzeli kłos.

I rzucaj, rzucaj w tę ziemię czarną i bez wytchnienia siejże, a siej, aż bujnym kłosem to małe ziarno za czas niedługi wyrośnie z niej.

Niech cię nie zraża tak ciężka praca, niechaj nie pali dłoni twej pług, bo choć to ciężko, lecz to popłaca i taką pracę nagrodzi Bóg!

A gdy pot zrosi twe biedne czoło i rękom wreszcie zabraknie sił, spojrzyj dokoła, spojrzyj wesoło, ileś ty pługiem ziemi tej zrył?

Ileś ty ziaren rzucił do ziemi, które stokrotny wydadzą plon! Tyś to dokonał rękami swemi, a zaś nagrodę da ci już... On!

On pracy twojej pobłogosławi... On da nagrodę, Pan nasz i Bóg! Ciężkimi snopy ziemię zastawi, ciężkimi snopy napełni bróg.

Na pługu twoim spocznijże, bracie, i rzuć twe oko na ogrom pól, które w wiosennej kąpią się szacie — tyś jest ich sługa — sługa i... król.

Tak! Ty królujesz tej czarnej ziemi, ty jej wydajesz rozkazy swe, ty nią kierujesz rękami swemi, a ona spełnia życzenia twe.

Ty jej królujesz, ale i służysz i pokłon składasz ziemicy tej, kiedy ją srebrnym pługiem swym płużysz i pot swój krwawy oddajesz jej.

Prawo ci wielkie nad nią jest dane, pod władzę twoją dany ten łan, lecz jeśli jesteś ziemi tej panem, to rządź nią, bracie, jak dobry pan!

Nietylko z ziemi ciągnij korzyści, lecz też potrzeby ziemi tej znaj, wówczas pragnienia ona twe ziści... A więc o ziemię twą, bracie, dbaj!

Władaj nią, ale kochaj zarazem; nie bądź dla ziemi włodarzem złym, bo kiedyś znowu spoczniecie razem: w grobie cię ciepłem ogrzeje swem.

Gdy kiedyś zamkniesz swoje powieki, ona cię w łono przygarnie swe; ona cię w sobie uśpi na wieki, a z tobą razem i troski twe.

Antoni St. Bassara.



MACIEK BZDURA GADA:

— Zywot mi się naprawił! Zywot mi się naprawił! — wrzescała Kaśka na cały pysk na świętej Rezurekcji w Wielgaśną Niedzielę. I jak się jej nie miał naprawić po tem, co przedtem zrobiła? A było to tak: W Wielgą Sobotę gosposia, daruj jem Panie Jezusie wszyćkie grzychy, których mają co niemiara, posłali Kaśkę do kościoła ze święconem. Bo u nas tak jest, że jegomość tylko do tych pobożniejszych, co mają dużo gruntu, idą do chałpy święcić, a ci wielcy grzyśnicy, co ich Poniezus już za życia pokarał i dużo gruntu jem nie dał, musą liść ze swojemi jajkami do kościoła na poświęcenie. Do takich należą i moja gospodyni. Bez to tez wyprawili Kaśkę, coby ją i jedzenie jegomość poświęcili, żeby potem nikt z tego nie odniósł szkody na wnętrznościach. Dali jej bochenecek chleba, pókopy jajek, ściry łokcie kiełbasy, po łokciu la każdego, trochę spyrki, krzonu i innych delikatności, coby to ućciwie poświęciła i do chałpy z powrotem przyniesła.

Coprawda gosposia sami chcieli z tem iść do kościoła, ale Kaśka jem wyperswadowała, że błociara okropna, to skoda ich nóg na to, a ona, jako ściry godziny i dwie minuty od gosposi młodsa, to prędzej przeleci i dokumentniej wszyćko oświęci. Zreśtą ona, to jest Kaśka, zna się z grubarzem, to jak się jegomość do jej święconego przybliżą, to grubarz wtenczas kropiciela we wodzie zmaca i będzie bez to dokumentniej wszyćko poświęcone.

Dali się gosposia namówić i kazali iść Kaśce z oświętem. A Kaśka, jak posła, tak jej nie było i jedną godzinę, i drugą, i trzecią. Dopiro gdziesik po ścyrech godzinach przylazła. Ja tam, choć na baby patrzyć nie lubię, bo to z tego ino grzych i obraza Boska, ale zaraz poznałem, że Kaśka cosik spęcniała. Jak było nie poznać, kiedy brzusysko posło jej pod samą brodę. Ale gospodyni tego nie uźreli i myśleli, że co inksego było powodem takiego długiego siedzenia Kaśki. Powiadają więc:

— Cóześ ty niećciwiaro musiała wszyćkie jajka przy kościele pooglądać, coś tak długo siedziała?

— Hale! — odcięła się Kaśka — trzeba było pójść wam, tobyście wiedzieli, co to za mycyje. Nasło się luda, nanieśli tyle różności, a wszyćko to jegomość musieli poświęcić, nad każdem się pomodlić, każdemu się przypatrzyć i cas zesed. Jakbyście wy byli pośli, to i na rano byście nie wrócili.

— No nie pyskuj, — padają gosposia, — ale dej kosycek, niech schowam święcone do kumory, bo się Maćkowi ślipie świcą, to kto wie, jakby było. A przecież to dziś jesce sobota i pust święty.

Dała jem Kaśka kosycek, a gosposia jęli wszyćkie świętości śniego wyciągać.

— O ścirwo! — padają — a gdzieze jeden łokietek kiełbasy?

— Było trzy i trzy jest — Kaśka na to.

— Jakie trzy? Było ściry i ściry być powinno, a jest ino trzy!

— Pewnie sie dwa zlepiły ze sobą — powiada Kaśka, a gospodyni dalej wyjmują święcone jajka.

— Rany gorzkie! — powiadają gosposia — Kaśka, a gdzieze reśta jajek? Było ich pół kopy i siedem, a teraz mało co więcej, jak mendel. Cózesie znowu stało? Przecie sie nie zlepiły?

— Pewnie ze nie, ale jegomość tak długo święcili, że się to musiało wszyćko pozsychać i z kosyka poubywać. Zreśtą to nie ino mnie, ale i inksem.

Juz mnie wciórności brali na takie gadanie, więc powiadam do gosposi:

— Cobyście tam po próżnicy z kołtunem gadali! Popatrzcie sie na jej brzuch, a będziecie wiedzieć, gdzie się podziała kiełbasa, i jajka, i inkse okoliczności!

Po takiem święceniu to się musiał Kaśce żywot naprawić i kużdemuby się naprawił, gdyby wszyscy mogli iść z oświętem do kościoła. Ale że to przecie niemożliwe, bo zrobiłaby się tam okrutecna cizba, bez to ino jednem się żywot naprawia, a drudzy musą się ilem tylem bez całe dwa dni obchodzić.

I może to zreśtą dobrze jest, bo jakby się tak wszyćkiem żywot naprawił i potem wszyscy na Rezurekcji na całą gębę sie tam pochwalili, toby mógł kościół pęknąć, albo się i zawalić i coby potem było?

Nie bez kogo tez inksego, ale bez Kaśkę miałem tego roku smutne święta, bo mnie ani wanciuch nie bolał, ani mi w żołądku nie zawurcało, a co to takie święta, jak na wnątrzu taki sam spokój, jak w Wielgi Piątek, albo środę popielcową.

Były święta, minęły i do drugich trzeba cały rok znowu cekać, a po nich nie zostało ani śladu tak na wnątrzu, jak i na zewnętrzu.

Hej, w górę!



Hej w górę, w górę dążmy hen —
Cóż dla nas młodych trud?
Nam życie zda się niby sen,
Nam trzeba szczęścia złud...

Hej w górę, w górę dążmy wraz —
W uścisku złączmy dłoń,
Dziś nic nie zdoła wstrzymać nas,
W miłości nasza broń...

Hej w górę, w górę, o jasny cel —
Idziemy zwalczać zło,
I tworzyć taką rajską biel,
Nią zakryć nędzy dno...

Hej w górę, w górę ziarno siać —
Idziemy dzisiaj my,
By podnieść duchem szarą brać,
I otrzeć z oczu łzy...

Hej w górę, w górę tylko wprzód —
Nie wolno wahać się
Musimy podjąć ciężki trud
Wszczepiając wiedzy skrę...

Na słowo czeka tysiąc dusz,
Więc twórzmy, siejmy je —
Wypleniwszy z pola chwast i głusz,
Niech wschodzą myśli cne...

Maryla „Widz“.

Podróż po dalekich krajach.

Algier.



Rodzina kabylska w podróży.

Z dalekiej południowej Afryki przenieśmy się myślą nieco bliżej, nad morze Śródziemne. Tu na samej północy olbrzymiego lądu afrykańskiego rozciąga się Algier, będący częściowo w posiadaniu Francuzów, a wciśnięty między Marokko od zachodu i Tunis od wschodu. Na południe wciska się zaś w największą pustynię świata Saharę.

Kraj ten w starożytności był pod panowaniem Rzymian, w roku 699 przed Chrystusem zajęli go Arabowie i wówczas był gniazdem korsarzy. W roku 1515 po narodzeniu Chrystusa przeszedł w ręce Turków, ale rozbójnicze ich zapędy powstrzymała Francja i w roku 1834 zamieniła na swą kolonję.

Ludność Algieru jest bardzo różnorodna. Przeważają Mahometanie, panującą ludnością są Francuzi, zaś najsprytniejszym ludem w kupiectwie, zresztą jak wszędzie, są żydzi. Oprócz tych głównych jest tu wielu Hiszpanów, Niemców, Marokkanów, Tunetanów i innych. Przeważną jednak część ludności stanowią Arabowie liczący ponad 4 miljony głów.

Pierwotnymi mieszkańcami są Berberowie czyli Kabylowie. Mieszkają oni głównie w górzystej okolicy, uprawiają drzewa owocowe i oddają się rękodzielnictwu. Od czasu do czasu całymi rodzinami schodzą za interesami w doliny. Na naszym pierwszym obrazku widzimy właśnie taką rodzinę kabylską powracającą z dolin z powrotem do swych górskich siedzib.

Arabowie zamieszkują niziny, gdzie uprawiają zboże i hodują bydło. Wsi takich, jak u nas, niema tam zupełnie. Arabowie mieszkają bowiem w namiotach, wystarczy im takie schronienie zupełnie, gdyż ciepło jest tam zimą i latem, a więc dom staje się wobec tego zbyteczny, natomiast namiot chroni mieszkańców jedynie przed zbytniem gorącem promieni słonecznych.

Francuzi, zawładnąwszy Algierem, zajęli się energicznie jego podniesieniem. Osuszają cuchnące bagna i coraz większe obszary zdobywają dla uprawy roli. Miejsca suche wydzierają z objęć pustyni Sahary przez nawadnianie ich sztuczne, zakładają jeziora i studnie artyzejskie. Zbyteczne leśne obszary i gaje palą, a kiedy na te obszary spadną deszcze, okrywają one się kobiercem bujnych i zielonych traw, stanowiących pastwiska dla bydła. Zasadzają akacje, cedry i eukaliptusy, to jest drzewa, które szeroko się rozkorzeniają i potrafią nawet susze przetrzymać. I oto potem z takiej pustyni, jak to widzimy na naszym drugim obrazku, czynią pola urodzajne, przynoszące ludziom znaczne zyski. Uprawiają tam tytoń, owoce południowe i winną latorośl.

Stolicą Algieru jest miasto tej samej nazwy, położone malowniczo nad zatoką, osłonioną sztucznymi wałami przed burzami nadciągającymi z północy. Dolna część zamieszkała przeważnie przez Europejczyków, górna spinająca się amfiteatralnie ku wierzchołkowi góry, wygląda, jak piramida, zakończona cytadelą, niegdyś siedzibą deja Algieru, a dziś zamieniona na koszary wojskowe. Część miasta, przez krajowców zamieszkała, posiada uliczki krzywe, wązkie i brudne. Ponad miastem wznoszą się wieże kościołów chrześcijańskich i meczetów mahometańskich. Z alei, wysoko wzniesionej, zapełnionej zwyczajnie publicznością, pragnącą użyć świeżego powietrza, roztwiera się widok imponujący na piękne góry z południa, a od północy na rozległe morze i port, na wsze strony zapełniony snującymi się okrętami, na las ich masztów, kołyszących się na kotwicach.



Krajobraz z pustyni Sahara.

Do Algieru przyjeżdża wiele osób zamożniejszych z Europy dla poratowania zdrowia, gdyż klimat tu bardzo łagodny i zdrowy. W zimie utrzymuje się bowiem przeciętnie 12 stopni ciepła według Celsiusza, w lecie nie przechodzi niemal nigdy ponad 30 stopni.

W algierskiej Saharze liczne są oazy z miasteczkami, cieszącemi się pod rządami francuskimi szybkim rozwojem. Są one zarazem podstawą, z której Francuzi czynią zabory, wsuwając się wgłąb Sahary.

W pobliżu miasta Medei znaj-

duje się słynny wąwóz Gola del Biban czyli Żelazna Brama, o którą Francuzi wiele krwi przelali, nim ją zdobyli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

— Wujciu pułkowniku! — wołała, wybuchając gwałtownym płaczem, — wujciu pułkowniku!

Nastąpiła przejmująca scena.

Poważnemu mężczyźnie, gorące łzy zalały oczy.

— Moje ukochane, biedne dziecko, — wyrzekł głęboko wzruszony.

Teraz podszedł do leżącej Rogers z dzieckiem na ręku.

— Izo, — zawołał Rogers drżącym głosem, — o wszechmogący Boże! — Izo, — czy to możliwe, — czy mnie nie słyszysz? Dla twego dziecka, dla mnie, o zbudź się pani!

Ale powieki Izy nie drgnęły.

— Zmartwienie i obawa ją zabiły, — zawołał Janik.

— Ależ, dziecko, powiedz mi, jak twoja matka tutaj się dostała? — zwrócił się Rogers do Liddy.

Liddy przez chwilę patrzała na Rogersa wielkiemi oczyma.

— Tego nie wiem, wujciu, — odpowiedziała potem.

— No, to chyba wiesz, że z tamtego domu tutaj przyszłaś?

Dziewczynka wtrząsnęła głową.

— Nie, wujciu pułkowniku, bo ja usnęłam. Kiedym się niedawno temu przebudziła, byłam już tutaj, a mama leżała na sofie, jak teraz.

— Idźcie teraz, Janik, zaprządz konie i zabierzemy panią i dziecko, — rozkazał pułkownik bez namysłu, — trzeba je stąd zabrać koniecznie.

Jack wyszedł razem z Antonim, aby mu snać dopomódz, Rogers pozostał z dzieckiem u zwłok ukochanej kobiety.

Dziecko nie pojmowało, że matka umarła i dopominało się ciągle, aby ją obudzić.

I pułkownikowi chwilami zdawało się, że tylko zasnęła, tak cudownie bowiem wyglądała.

W tej chwili z zewnątrz zbliżały się spieszne kroki.

Rogers obejrzał się.

W otwartych drzwiach kaplicy stanął Jack.

— Panie! — rzekł bez tchu prawie, — plantator nie chce wydać umarłej.

Rogers podniósł się. Żyła gniewu nabrzmiała na jego czole.

— Plantator? — zawołał. — Jakiem prawem?

— Plantator twierdzi, że tu na swoim gruncie jest on jedynym i wyłącznym panem.

— Dobrze! Ale nie jest panem tej kobiety i tego dziecka.

— Straż przyboczna nadchodzi. Powóz i konie zabierają zbrojni.

— Ależ to akt niesłychanej samowoli, — wołał Rogers z goryczą.

Teraz było już słychać coraz bliżej głosy i ciężkie kroki.

Pułkownik wyprostowany w całej swej wysokości, — stał patrząc ku drzwiom.

Stanęli w nich niebawem umundurowani.

Wpadł i Janik w największem uniesieniu i oburzeniu do kaplicy.

— Panie pułkowniku! — wołał, — to wprost niesłychane! Nie dadzą nam zabrać lady!

— Co to znaczy? Któż się poważy mnie i was pozbawiać wolności? — spytał Rogers.

Bakałarz, który się widocznie uważał za naczelnika przybocznej gwardji, wystąpił naprzód z wojskowym, sztywnym ukłonem.

— Panie pułkowniku, to omyłka! — oświadczył. — Nasz pan bynajmniej nie chce ograniczać wolności osobistej ani pana ani też tego człowieka, w każdej chwili możecie panowie w swoim powozie opuścić haciendę.

— Żądamy wydania nam ciała lady! — chcemy ją zabrać z sobą!

— Temu życzeniu nie da się zadośćuczynić! Temu w danym razie, musielibyśmy nawet oprzeć się zbrojnie. Nasz pan sprzeciwia się stanowczo świętokradzkiemu naruszeniu zwłok i nie pozwala ich stąd zabrać, ale zamierza tu je pochować.

— Jakież prawo ma plantator stawiać mnie, pułkownikowi policji, takie warunki?

— Pan znajdujesz się tu w obcem państwie, — odparł Evans z uśmiechem, — tu każdy plantator na swej plantacji ma królewskie prawa!

— W takiem razie zobaczymy, czy mu także w tem państwie przysługuje również prawo zatrzymywania damy, z którą nie łączą go żadne związki, — zawołał Rogers blednąc. Przekonamy się, jak daleko idą te prawa!

— Chodźcie panie Janik, pojedziemy do Kolumbji i tam zwrócimy się do władz miejscowych.

Ewans z szyderczą miną wzruszył ramionami.

— To już rzecz pańska milordzie! — rzekł.

Dumnie, nie spojrzawszy nawet na trzech gwardzistów plantatora, wyszedł pułkownik z kaplicy, zabierając z sobą małą.

Za nim podążył Janik a i Jack wyszedł z kaplicy.

Trzej godni swego pana pachołkowie zamknęli drzwi, a sami usiadłszy na schodach, jęli straż nad kaplicą.

23. W Kolumbji.

O jakie dziesięć mil angielskich od plantacji Vermonta leżało wielkie miasto Kolumbja, które było siedliskiem władz tamecznych.

Na rynku stała obszerna budowla, w której były biura policji sądu. W jednym z tych pokoji, siedział prezydent policji państwa mister Crafford.

Urzędnik Samuel, murzyn, właśnie zdawał relację prezydentowi ze swych czynności, gdy wszedł służący i oznajmił przybycie pułkownika Rogersa.

Po chwili ukazał się sam pułkownik.

— Pan jesteś pułkownikiem policji w stanie New Jork, — zawołał Crafford, — cóż pana sprowadza tu do Kolumbji, panie pułkowniku, — proszę racz pan siadać.

Rogers zajął miejsce.

— Dwie sprawy, panie prezydencie, — odpowiedział, — dwie całkiem różne rzeczy, — które jednakże mają z sobą pewien tajemny związek.

— Tak, no proszę! To coś brzmi bardzo tajemniczo, — uśmiechnął się Crafford, — zapewne chodzi tu o jakąś sprawę kryminalną.

— O sprawę Goulda panie prezydencie!

— Czy mówisz pan o morderstwie popełnionym na właścicielu warsztatów okrętowych Smithie?

— Tak jest panie prezydencie.

— No i teraz przyjechałeś pan, w poszukiwaniu za nim?

— To jest jeden zamiar, — drugi zaś, to chodzi o wydanie zwłok zmarłej, pierwszej żony Goulda. Nieszczęśliwa ta, uciekając przed wyrodnym mężem, schroniła się wraz z dzieckiem do dworu jakiegoś bogatego plantatora Vermonta i tam ją śmierć dosięgła. Ów zaś plantator nie chce zwłok jej wydać, twierdząc, że nie dopuści do takiego świętokradztwa i że przysługuje mu prawo pochowania jej.

— W tem ma rację, panie pułkowniku. Jakże się on nazywa?

— Jest to plantator Vermont, panie prezydencie.

— Vermont? Wszakże on sprzedał swoją posiadłość i dlatego też nie może być na haciendzie.



Antoni zapalił świecę.

— Musi jednakże znajdować się jeszcze w swoim dworze.

— To niemożliwe, mister Vermont, jest tutaj i mieszka w hotelu „International".

— W takim razie pod tym względem chciałbym mieć jakąś pewność. Rogers podniósł się.

— Jeszcze jedno panie pułkowniku, — rzekł Crafford, — jesteś pan przekonany, że ten Gould, czy Norden, czy Wilson, jest tutaj?

— Gdzieś w pobliżu, to pewne!

Crafford zadzwonił. Czarny funkcjonarjusz policyjny stanął przed nim.

— Samuelu, — zwrócił się do niego Crafford, — czyście kiedy nie zauważyli gdzie w naszych stronach, jakiego oficera w czerwonym mundurze?

Murzyn namyślał się chwilę.

— Nie milordzie, — odpowiedział potem.

— Ten pułkownik Wilson jest mianowicie mordercą Gould, Samuelu, — objaśnił Crafford, — jeśli go odszukasz aresztuj go.

Pułkownik Rogers, ostrzegł Samuela, że ma do czynienia z człowiekiem gwałtownym i popędliwym, który w obronie swej wolności, gotów go zastrzelić.

Samuel wyszczerzył w śmiechu zęby.

— Panie pułkowniku, — rzekł, ja z każdym gotów jestem podjąć walkę.

Pułkownik wyraził zdanie, że tutaj lepiej użyć podstępu, a mianowicie, żeby Sameul przebrał się za robotnika, szukającego roboty na plantacji.

Prezydent i Samuel przyznali słuszność pułkownikowi.

Poczem Rogers pożegnał prezydenta, Samuel zaś miał w przeciągu godziny, przebrać się za robotnika i razem mieli udać się do plantacji Vermonta.

* * *

Rogers, pozostawiwszy małą Liddy pod opieką Janika w Kolumbji, sam wraz z Samem powrócił konno do haciendy.

Kiedy późnym już popołudniem przyjechał na haciendę, nikt zgoła nie wyszedł na jego spotkanie.

Dwór cały zdał się jakby wymarły. Sam przeto odprowadził konia swego do stajni, potem nie wahając się ani przez chwilę, zwrócił się ku dworowi, aby rozmówić się z plantatorem .Samuel zaś rozłączył się z pułkownikiem przed haciendą, skrył się w pobliz-kich zaroślach.

Gdy Rogers zapukał do drzwi głównych, zastał je zamknięte. Po długiej chwili posłyszał zbliżające się z wewnątrz kroki.

Drzwi odemknięto. Przed pułkownikiem stał Silver, przyodziany w swój mundur fantastyczny.

— Chciałbym widzieć się z samym plantatorem, — oświadczył pułkownik.

— To trafiłeś pan bardzo nieszczęśliwie, — odpowiedział Silver, bo plantatora niema zupełnie w domu. Ale zresztą idź pan na górę, jest tam nasz wachmistrz, który pana lepiej objaśni.

Na górze zastał pułkownik Ewansa w jednym z pokoi, którego drzwi stały otworem.

Pułkownik przedstawił mu swe żądanie, poczem tenże oświadczył, że plantatora niema w domu i niewiadomo kiedy powróci.

— Przychodzę tu z powodu tej lady, która tu umarła.

— Tak, tak, wiem już — ale niestety przybywasz pan zapóźno, bo lady jest już pochowana.

— Gdzie została pochowana?

— W grobowcu podziemia sir.

— A kiedyż plantator ma powrócić?

— Może dziś w nocy, może później jeszcze; ja tego nie wiem.

Pułkownik widział, że się niczego nie zdoła dowiedzieć od tego zausznika plantatora i rad nie rad musiał odejść.

Tymczasem Ewans, siedzący dalej najspokojniej, posłyszał niezadługo na werandzie kroki. Podniósł głowę. To niezawodnie był sam właściciel.

Drzwi sieni otwarły się istotnie. Był to rzeczywiście plantator.

— Czy spotkał pan pułkownika policji z New-Jorku? — spytał przyciszonym głosem.

— Czy spotkałem? — nie, — dlaczego?

— Bo był tutaj i pytał, czy nie mógłby się z panem widzieć. Jeśli go pan nie spotkał, to powróci tu z pewnością.

— Czegóż on chce?

— Wie pan przecież, że chciałby otrzymać zwłoki lady. Nie ma ochoty ustąpić!

— Czy który z was nie poważył się czasem powiedzieć mu, gdzie lady się znajduje?

— Ani słóweczka milordzie!

— Więc powtarzam raz jeszcze: precz z nim z moich gruntów.

W lochu, w którym stała trumna, panował mrok ponury, ani jeden promień światła nie przedzierał się przez pajęczyną zasnute okienka.

Kilkakrotnie Norden był już tutaj i zaglądał do Izy, która dotąd niezmiennie leżała pogrążona w swym śnie letargicznym, — przychodził przekonać się, czy dotąd nie zbudziła się jeszcze.

W tej chwili przecież w lochu nie było nikogo.

Naraz zdało się, że ciemne rzęsy spoczywającej w trumnie, zadrżały zlekka. Zwolna podniosła nieco

w górę ramiona. Mechanicznie przytrzymała się za krawędź trumny i podniosła się.

Oczy miała szeroko otwarte, szkliste jakieś osłupiałe, pełne niewysłowionej trwogi. Zbudzona z długiego snu rozglądała się Iza po swem otoczeniu, które ją przejmowało grozą i strachem.

W śmiertelnem strachu zstąpiła ze swego łoża. Przez chwilę stała nieporuszona na posadzce kamiennej lochu, dysząc ciężko. Potem pobiegła ku drzwiom.

Była zamknięta! Spostrzeżenie to, przejęło ją nowym przestrachem. Przetarła dłonią czoło. Wtem przyszedł jej na myśl plantator — Norden. Nie umiała sobie wyjaśnić, jakim sposobem tu się dostała i gdzie się znajduje.

Nagle zadrżała.

Jakiś przybliżający się szelest, doszedł jej ucha. Były to kroki, ciche kroki.

Przerażona Iza ukryła się poza jedną z trumien. Usłyszała niebawem, że ktoś wkładał klucz w zamek.

Była to Jessy z latarką i koneweczką pełną nafty. Dziewczyna spostrzegłszy trumnę pustą, rozglądnęła się przerażona dokoła, poczem „milady" — zawołała.

Iza usłyszawszy głos Jessy, wychyliła się ze swego ukrycia i błagała ją, aby ją uratowała i wypuściła stąd.

— A jeśliby plantator przyszedł, — zapytała, wtedy podejrzenie padnie na Jessy i czeka ją okropna kara.

Iza prosiła murzynki, aby otworzyła okno, — to plantator pomyśli, że oknem uciekła i Jessy będzie wolna od wszelkich podejrzeń.

Jessy zgodziła się na plan Izy, i po chwili nieszczęśliwa ofiara opuściła straszny loch.

Za chwilę, Jessy zamknąwszy drzwi lochu na klucz, podążyła na dwór za Izą. Ostrożnie, oglądając się na wszystkie strony trwożliwie, dognała Izę w ogrodzie. Następnie odciągnęła ją od pobliża domu.

W tejże chwili rozległo się w pół stłumione wołanie od strony dworu. — Jessy, — Jessy — słychać było w dziedzińcu.

Był to głos Sama.

Jessy dążyła naprzód i szeptała Izie, aby szła z nią razem tam, gdzie ją zaprowadzi.

— Jessy, — Jessy! Chodź tu, jest tu ktoś, — wołał Samuel.

Pułkownik wyszedł za Murzynem na dziedziniec, gdzie panował zupełny już mrok wieczora.

— Oho, — zagadnęła Jessy, — pan w mundurze znowu widać przyjechał.

— Wielki Boże! — wszakże to pułkownik, — to zbawienie moje.

— Sam! Chodź no tutaj! Musisz ocalić lady, lady żyje! — wołała stłumionym głosem.

W tej chwili dobiegł Rogers, do obu dążących w tę stronę kobiet.

— Izo! — wydarło się z jego ust, — Boże! czy to możliwe?

— Zdołałaś uniknąć śmierci. Musimy uciekać stąd czemprędzej, nie powinnaś pani pozostać tu ani godziny.

— Nie, ani godziny dłużej, masz rację, pułkowniku! O, ratuj mnie! — wołała Iza z łkaniem rzucając się w ramiona Rogersa.

— Samuelu, czy masz z sobą konia? — zapytał pułkownik.

— Mam tu ukrytego dalej, — odrzekł Sam i natychmiast podążył po niego.

Gdy Sam przyprowadził konia, Rogers oznajmił mu, że muszą odwieść lady do Kolumbji, poczem wyruszyli w drogę. Na czatach zaś, zostawili Jessy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Chłopska dola.

Poprzez bruzdy, przez pola
Idzie z chłopem niedola
I złe oczy na chłopa obraca;
A chłop — mocny mój Boże —
Ziemię orze i orze,
Aż ugina i łamie go praca.

Choć się chwieje i gibie,
Pług swój ciągnie po skibie
I zagony bez przerwy przemierza;
Krok w krok za nim niedola
Idzie jak cień przez pola,
Zęby dziko do chłopa wyszczerza.

Chłop wciąż orze i sieje,
Bo ma w Bogu nadzieję,
Że z ziarn złote wyrosną mu kłosy;
I trwa silny w swej wierze,
Żniwo wielkie że zbierze,
I że szczęścić mu będą niebiosy.

Lecz niedola, zła jędza,
Troski chłopa napędza:
Między ziarna zasiewa kąkole;
Osty sieje, pokrzywy,
By zagłuszył chwast niwy
I by zmarniał rzucony siew w rolę.

To łan mrozem osmali,
To posuchą wypali,
Gradem kłos już dojrzały wytłoczy —
Lecz chłop stoi uparty,
Niezłomny, zażarty,
Choć mu duszę i serce ból mroczy.

Zęby zaciął, pięść ściska,
Ziąb mu łamie kościska,
Głód mu skręca wnętrzności i pali —
Lecz nie cofnie się z drogi,
Nie zna zwątpień i trwogi,
Ten chłop polski z granitu i stali.

Znów od nowa zaczyna,
Znów ramiona napina,
Ostrzem pługa zagony wciąż kruszy;
Chlebne ziarno zasiewa,
Żniw się wielkich spodziewa —
Silny wiarą i hartem swej duszy.

Ej! ty chłopie mocarny,
Jak twa ziemia — tak czarny,
Od udręki, i trudu, i znoju,
Trwaj jak skała uparty,
Niezłamany, zażarty,
W twym kamiennym, królewskim spokoju!

Wszystko przejdzie i minie,
Wiele ludzkich dzieł zginie —
Ty trwać będziesz z ziemią nierozdzielny.
Któż przewidzi i zgadnie,
Co się w gruzy rozpadnie...
Ty z swą ziemią przetrwasz nieśmiertelny.

Aleksander Borucki.

Przedwiośnie.

Ziemia leży jeszcze, niby w śmiertelnej niemocy. Topniejący śnieg odsłania czarne rozłogi błotniste. Drzewa bezlistne sterczą samotne, jak chude, nagie szkielety. Wokoło wlecze się smutek opustoszenia, niby melancholja zwietrzałych uczuć człowieczych. Głosy odrodzonej przyrody i nowego życia jeszcze milczą... Ale spodem czarnych pól i ugorów pracuje w tajemnicy niewidzialne życie na przyszłe gody szczęścia. Pod obumarłem pozornie ciałem ziemi coraz silniej prą soki żywotne. Krew ziemi pulsuje..., martwica poczyna oddychać... Zamroczona twardą niemocą ziemia otwiera zwolna zamglone oczy i marzy o białych sadach, łąkach ukwieconych, marzy o słońcu, błękicie i wiośnie prześlicznej. Ale cyt, cyt! Taka cisza... Przed duszą ziemi i duszą ludzką zjawia się wizja cudowna. Zdaleka, hen z bezkresów lazurowych przylata, z pierwszym oddechem wiatru, z piosnką miłego skowronka, z klekotem bociana na gnieździe się rodzi... Oto widać ciemny las pachnący, niby świątynia mroczna i uroczysta. Oto miedza wśród zbóż, co kłosić się poczynają... Oto jasna polana słoneczna, co odsłoniła się zachwyconym oczom, niby czarowny uśmiech nadchodzącego szczęścia..., a dalej różowe poranki z rosą, perlącą się na kwiatach przebudzonych! Skwarne południe, ziemia, skąpana w słońcu, a nad jej łonem błogosławionem idą wonne westchnienia radości i dreszcze zachwytu, co poruszają wiotkiem listowiem i dobywają ciche głosy upojenia z rozległych pól, młodych zbóż i gajów zielonych. O wizjo cudowna! Westchnienie piersi podnosi, serce poczyna bić radośnie... Otwierają się cicho białe wrota nadziei, co wszystko obiecuje i niczego zrzekać się nie każe... Zima-niedola odeszła... Pokonało ją słońce triumfujące na wysokościach, stopiły pęki promieni ognistych. I oko nasze patrzy z upragnieniem w dni świetlane, które wnet nadejdą..., niosąc ze sobą dobrą nowinę!

Szept tajemniczy spływa wraz z falami blasków radosnych i mówi o nowem życiu, co się rozpocznie z nową wiosną... Pójdź młodzieży kochana! Marzenie zaprowadzi nas na łąkę rozkwitłą..., tęsknota wyczaruje w przestworzu śpiew słowika, a złota glorja słońca da nam na chwilę złudę szczęścia... Pójdź!... Zapalimy w oczach naszych fantom wiosny i zapatrzeni w słońce czynów naszych, zaczniemy śpiewać hymn o maju. W przydrożnym potoku utopimy smutek i troskę — a wyzwoleni ze żmudy rzeczywistości, oddamy się szczęściu i upojeniu. I śpiewać będziemy pieśń życia — i niby jaskółki do gniazd opuszczonych powrócą nasze ukochania, dawne ideały, zapał i wiara, powrócą dni szczęsne, uśmiechnie się dola przejasna... Młodzieży! W otoku ramion naszych zakwitną bzy, a w piersi naszej zadzwoni pieśń słowicza. I kiedy uderzymy w ton najwyższy, wicher złowrogi zechce zagłuszyć pieśń naszą. Rzuci może garść brudnego śniegu na kwiaty czynów naszych i czarne chmury zasłonią słońce życia naszego. My jednak śpiewajmy wesoło! Niech hymn nasz będzie tak czysty i mocny, iżby go nie stłumił skowyt wichrów, zewsząd rozszalałych! Niech kwiaty czynów naszych wrosną tak głęboko w serca miljonów, iżby nie dosięgła ich śnieżyca! Niech słońce życia naszego będzie tak promienne, iżby nie potrafiła zakryć je nawet najgrubsza zasłona mroku! Marzenia staną się wkrótce rzeczywistością. I zbiorowy duch narodu polskiego marzy dzisiaj o przyszłych dniach szczęścia, o jasnej doli..., marzy o wiośnie odrodzenia, o potędze i chwale Ojczyzny! Bowiem niedalekie jutro...

„nim się świt pobieli,
Z dożynkiem przyjdą tu przed chłopski próg.
Pszeniczne wieńce przyniosą anieli
I szczęście Piastów ześle Polsce Bóg!"

Ach, szczęście odrodzenia narodowego!!

Franciszek J. Tryszczyła.



Poradnik gospodarczy.

Sadzenie cebulek i kłączy.

Corocznie na wiosnę dziewczęta i mężatki sieją lub sadzą kwiatki, w ogródkach, aby mieć latem przyjemny widok przed oknami. I o ile zasiane kwiaty rosną jako tako, to te, które wyrastają z cebul i kłączy, nie są takie, jakie być powinny. Wina tu oczywiście nieumiejętnego sadzenia. Niektóre rośliny cebulkowe i wyrastające z kłącza są tak wrażliwe na niewłaściwe, mianowicie za głębokie lub za płytkie sadzenie, że w danym roku kwitną słabo lub nie kwitną wcale.

Charakterystycznemi roślinami, które nieodpowiedniego dla siebie sadzenia nie znoszą zupełnie, są tulipany i krokusy. Tulipan posadzony za płytko, np. na powierzchni ziemi, wydaje maczugowato wydłużone cebulki idące w głąb ziemi i które dopiero, dosięgnąwszy odpowiedniej głębokości, staną się cebulkami normalnemi, by zakwitnąć na przyszły rok.

Krokus tworzy w takim wypadku wyrostki, również w głąb się zapuszczające. Obserwując krokusy, pędzone w doniczkach i sadzone w tym celu po kilka do jednej doniczki, widzieć można niejednokrotnie, że te sztuki, które przez nieuwagę sadzącego znalazły się na powierzchni ziemi, nie kwitną wcale i nawet ulistnienie mają słabe. Wynika to z tego, że całą swą siłę życiową skierowują do tworzenia wyrostków, zapomocą których starają się zagłębić w ziemię, stosownie do swych wymagań.

Podobne działanie, choć w odwrotnym kierunku odbywa się wówczas, gdy roślina posadzoną została za głęboko lub gdy po posadzeniu wypadkowo warstwa ziemi nad cebulkami pogrubiała się znacznie przez namulenie. Wówczas cebulki tulipanów kwitnąć nie mogą, ale wydają wyrostki skierowane ku gó-

rze, w które przenosi się materjał zapasowy roślin i z których wytwarzają się cebulki nowe. Wyrostki są tak długie, jak potrzeba, żeby nowe cebulki znalazły się pod powierzchnią ziemi w takiej głębokości, jaka odpowiada naturze rośliny.

Takiego samego rodzaju objawy obserwować można przy znanem podnoszeniu się szparagów za głęboko posadzonych.

Dawniej z zasady sadzono szparagi głęboko w doły kopane w przekonaniu, że rośliny tego wymagają i że to przyczynia się do otrzymywania dłuższych okazów. Jest to mylne zapatrywanie; za głębokie sadzenie jest przeciwne naturze szparaga; normalnie rośnie bowiem szparag zupełnie płytko, to też kłącz rośliny za głęboko posadzony, czy — co na jedno wychodzi — w jakiś czas po posadzeniu grubo ziemią przysypany, usiłuje wydostać się bliżej ku powierzchni przez tworzenie nowych części kłącza coraz wyżej a zamieranie dolnych. Szparagi przysypane choć tylko 30 cm. warstwą ziemi znajdą się po kilku latach — jeżeli się im ciągle warstwy nie pogrubiało — tuż pod powierzchnią ziemi.

U szparagów sadzonych płytko żadnego podnoszenia się zauważyć się nie da, natomiast tutaj szparagi rozrastają się na szerokość w rozmaitych kierunkach.

Naturalnie, że siła wegetacji szparaga cierpi bardzo na nienormalnem, więc za głębokiem posadzeniu kłącza, podobnie jak tulipan na zbyt głębokiem sadzeniu cebulki. Dowodem tego wysiłki, jakie czyni sama roślina, by przenieść swój kłącz czy cebulkę w odpowiednie dla siebie miejsce.

W interesie zatem sadzących i hodowców jest sadzić odpowiednio, a przez to uniknąć zmuszenia roślin do szukania sobie położenia normalnego, do „daremnej pracy", co odbija się — rozumie się — ujemnie na kwitnieniu i na sile samychże roślin.

Poradnik kucharski.

Zrazy w cieście. Pokrajane mięso na zrazy zbić dobrze, posolić i popieprzyć. Pół kwarty mąki, zagnieść z łyżką masła i 2 jajami posolić trochę i rozwałkować, zostawiwszy drugi mniejszy kawałek, który także rozwałkować.

Dobrze wysmarowany rondel wyłożyć ciastem, na spód położyć kawałek masła i trochę pokrajanej cebuli, na to dać warstwę zrazów, dalej warstwę ziemniaków pokrajanych w plasterki i spażonych, znów zrazy, masło, cebula i kartofle i t. d., aż wszystko mięso wyjdzie. Na wierzch pokrajać cebuli i położyć kawałek masła. Przykryć wszystko ciastem i wstawić w gorący piec na godzinę. Ciasto trzeba z wierzchu ponakłówać, żeby się nie podnosiło.

Zrazy w kapuście. Funt pieczeni usiekać, dodać łoju, moczoną bułkę, jedno jajo, przysmażoną cebulkę, posolić i popieprzyć. Wziąć duże liście z białej, świeżej kapusty, sparzyć ją i w każdy liść zawinąć potrochu mięsa, następnie roztopić w rondelku masła z cebulką, włożyć do niego zawinięte w kapustę zrazy, podlać parę łyżek rosołu i dusić przez trzy kwadranse uważając; ażeby się nie przypaliły. Na samem wydaniu, wlać parę łyżek śmietany.

Zrazy zwyczajne. Zrazy dobrze ubite,osolone i opieprzone układać w rondlu przekładając je masłem, siekaną cebulą i tartym chlebem, dodać świeżych, lub suszonych grzybów i dusić pod pokrywą do miękkości, poczem zaraz podawać, gdyż duszone zbyt długo twardnieją.

KRONIKA.

Od Redakcji. Redakcja i Administracja „Roli" dziękują serdecznie wszystkim tym, którzy nam przesłali życzenia świąteczne.

Zamknięcie sesji Sejmu. Sejm polski obradował przez 5 miesięcy nad budżetem na rok 1929/30 i ostatecznie go w wielkim tygodniu uchwalił. Dochody państwa w tym okresie powinny wynieść dwa miljardy, 954 miljony, 967 tysięcy 114 złotych, zaś wydatki dwa miljardy, 787 miljonów, 787 tysięcy, 731 zł. tak, że nadwyżka wyniesie 167 miljonów, 178 tysięcy, 683 zł. Po uchwaleniu budżetu Prezydent Rzeczypospolitej zamknął Sejm i Senat, a posłowie rozjechali się do domów. Prawdopodobnie nie prędko się znów zbiorą, gdyż większość posłów jak socjaliści, Wyzwolenie, Stronnictwo chłopskie, żydzi, Ukraińcy, komuniści i narodowi demokraci ciągle występowali przeciw rządowi, a nawet ministra skarbu Czechowicza, tego, który ustabilizował złotego i uporządkował finanse państwa postawili w stan oskarżenia przed Trybunał Stanu.

Trup na torze kolejowym. Z Trzebini donoszą: W nocy 26 marca o godz. 12 na torze kolejowym w Trzebini znalazł st. zwrotniczy między szynami osobnika, który dawał słabe znaki życia. Po udzieleniu pierwszej pomocy przez lekarza kolejowego z Trzebini, osobnik ów zmarł o 2 w nocy. Miał on odciętą lewą nogę, złamaną prawą rękę i złamaną podstawę czaszki. W toku dochodzeń przeprowadzonych przez posterunek policji ustalono, że osobnik ów zdążał wzdłuż toru kolejowego z Trzebini w kierunku Dulowej i dostał się między dwa wymijające się pociągi. Tracąc wskutek wywołanego pędu równowagę, nieszczęśliwy wpadł pod pociąg pospieszny. Ponieważ osobnik ów nie miał przy sobie żadnych dokumentów, nie zdołano dotychczas ustalić jego tożsamości.

Skutki wychowania. Z Krościenka Niżnego piszą nam: Dnia 19 marca b. r. popołudniu, przechodząc obok Kółka rolniczego w Krościenku Niżnem Stanisław Gorczyca z Białobrzegów i Władysław Wojnar z Krościenka Niżnego zostali niespodzianie napadnięci i w bestjalski sposób zmasakrowani przez szajkę bandytów. Stanisław Gorczyca znany z prawego charakteru, 28-letni młodzieniec, nieposiadający przy sobie nic do obrony, nawet laski, został uderzeniem sztangi w głowę powalony na ziemię. Leżącego bez przytomności zbito, zmasakrowano, stratowano butami. Kiedy opuszczono go chwilowo, aby łamać ręce i tłuc głowę koledze jego Władysławowi Wojnarowi, wówczas Gorczyca, odzyskawszy częściowo przytomność, dźwignął się ze śniegu i wlókł się powoli w stronę domu mieszkającej tu jego siostry. Jednak zadane mu w głowę, ręce i nogi i krwią ociekające rany zdały się bandzie opryszków za niewystarczające, bo wracającego Gorczycę dopędzono i wpakowano mu sztylet po samą rękojeść w plecy, przebijając mu płuca i raniąc ręce. Gorczyca padł na miejscu i z powodu upływu krwi stracił przytomność. W domu siostry odzyskał chwilowo przytomność wskutek zabiegów lekarskich, jednak walczy ze śmiercią i nie wiedomo czy jej uniknie. Wojnarowi również poraniono głowę i poprzetrącano ręce, jednak temu śmierć nie grozi. Sprawców, Kafla Kazimierza, ucznia szkół średnich, Długosza Jana, Steligę Józefa, Węklara Leona, Nowaka Marjana i Smereczyńskiego Aleksandra aresztowano i osadzono w więzieniu śledczem w Krośnie. Oto są skutki braku wychowania u naszej młodzieży.

Aresztowanie bandytów. W poprzednim numerze „Roli" donosiliśmy o obrabowaniu wozu pocztowe-

go przy pociągu kursującym między Dębicą a Rozwadowem na stacji Kochanówka. Jak donoszą z Poznania, policja aresztowała dwóch sprawców tego rabunku w osobach 26-letniego Edwarda Bedełka i 24-letniego Czesława Starosolskiego. Bandyci, dokonawszy rabunku przeszło 100 tysięcy złotych, wyjechali do Ostrowia Wielkopolskiego, a następnie do Poznania, gdzie pod przybranemi nazwiskami Jerzego hr. Potockiego i Zdzisława Staszewskiego zamieszkali w pierwszorzędnym hotelu i rozpoczęli wystawne życie. Zakupili sobie dwa samochody, sprawili wielką ilość nowych ubrań i przebywali w pierwszorzędnych lokalach rozrywkowych. Rozrzutny tryb życia zwrócił uwagę policji na obu młodzieńców, wobec czego przystąpiono do ich aresztowania. Śledztwo wykazało w pełni winę obu rzezimieszków, którzy się też do niej przyznali. Znaczną część pieniędzy odebrano, odebrano też aresztowanym bogatą ich garderobę, oraz oba samochody. Za kilka dni wesołej rozrywki odpokutują teraz bandyci długi czas w kryminale. Cudze nie tuczy!

Spełniony sen. Z Kielc donoszą: Tragiczny wypadek zdarzył się w Kielcach, gdzie służąca Antonina Bednarska podczas trzepania dywanów na balkonie II piętra przechyliła się przez balustradę i spadła na bruk, ponosząc śmierć na miejscu. Ofiara przeczuwała nieszczęście na kilka godzin przed wypadkiem. Opowiadała koleżankom o dziwnym śnie, jaki miała, a mianowicie śniło się jej, że niedawno zmarły jej ojciec przeleciał nad balkonem, z którego spadła, aeroplanem i zapraszał ją, by poleciała z nim razem. To zła wróżba — zauważyła — i w kilka godzin potem nie żyła.

24 miljony kary. Od czasu istnienia sądów polskich ani jeden dokument sądowy z sentencją wyroku nie zawierał tak zawrotnej sumy, jak w sprawie Baumowej, właścicielki fabryki octu w Kole. Oskarżona popełniła malwersacje ze spirytusem, przydzielonym przez monopol dla celów octowni. Nadużycia te wydały się dzięki wykryciu nielegalnego składu spirytusu u kupca Adamowicza w Łodzi. Znaleziono tam 400 litrów spirytusu. Na gąsiorkach były stemple, stwierdzające przeznaczenie ich do octowni w Kole. Produkcję octowni w Kole poddano sprawdzeniu, przyczem eksperci ustalili, że w ciągu dwóch ostatnich lat zużyto tam 21.000 litrów spirytusu. Tymczasem octownia otrzymała z monopolu 48.000 litrów, a więc 27.000 litrów gdzieś zniknęło. Straty skarbu państwa wynosiły zatem zgórą 200 tysięcy złotych. Sąd uznał winę Baumowej i Adamowicza za dowiedzioną i skazał ich na 6 miesięcy więzienia, wyznaczył im jednocześnie zawrotną grzywnę w wysokości 24 miljonów złotych, po 12 miljonów na osobę.

Dozorca więzienny bandytą. Gazety wileńskie donoszą, że od dłuższego czasu w więzieniu Stefańskiem w Wilnie pełnił funkcje klucznika niejaki Prusik. Obowiązki swe spełniał napozór sumiennie i nic nie zdradzało, że pod mundurem funkcjonarjusza więziennego kryje się przestępca. Wypadek tylko zrządził, że Prusik został zdemaskowany w okolicznościach następujących: Onegdaj władze policyjne otrzymały poufne informacje, że do sklepu win i wódek przy ul. Beliny 6 planowane jest włamanie. Z polecenia kierownika policja śledczej, pobliski teren został obsadzony przez wywiadowców, którzy, zmieniając się po koleji, mieli stale na oku dom, gdzie mieścił się wzmiankowany sklep. Jakoż w nocy dyżurujący wywiadowcy zauważyli czterech osobników, którzy, kryjąc się wśród ciemności, podeszli do sklepu i w momencie, gdy nikogo, ich zdaniem, w pobliżu nie było, po krótkiej manipulacji koło zamków, dostali się do środka. W chwili, gdy włamywacze rozgospodarowali się w sklepie na dobre, wywiadowcy okrążyli sklep i wkroczyli do środka. Rabusie, widząc wymierzone do siebie rewolwery, nie próbowali się nawet bronić. Pojawienie się wywiadowców było dla nich tak niespodziewane, że narazie nie mogli wydobyć z siebie głosu. Szczególnie jeden z nich, w momencie aresztowania go, był bliski omdlenia. Wszystkich zatrzymanych odprowadzono do wydziału śledczego, gdzie przystąpiono do sprawdzenia tożsamości. Trzej z nich byli to zawodowi przestępcy, notowani już w policji, czwartym zaś kompanem zawodowych włamywaczy był właśnie Prusik. Znając z tytułu swych funkcyj wszystkich przestępców, Prusik zdołał wejść z nimi w bliższy kontakt i w czasie wolnym od służby brał udział w wyprawach na rabunek sklepów.

Pomysłowi oszuści w Wilnie. Jak donoszą gazety wileńskie, do przechodzącego ulicą Wiłkomierską w Wilnie Wincentego Suszki, gospodarza ze wsi Ginajciszki, podeszło dwóch osobników, mówiąc: „Jesteśmy kontrolorami. Panu wiadome jest chyba ostatnie rozporządzenie pana wojewody, a jednak kpi sobie pan z niego najbezczelniej i chodzi lewą stroną chodnika. Płaci pan karę, albo proszę z nami“. Darmo włościanin tłumaczył się, że jest pierwszy raz w Wilnie i o podobnych przepisach nie słyszał. Wreszcie, dla świętego spokoju zapłacił 10 zł „kary“ i „kontrolerzy“ ulotnili się. Policja, zawiadomiona o wypadku, zdołała ująć jednego z szantażystów. Jest to niejaki Jerzy Wróblewski, poszukiwany przez policję za dezercję z wojska.

Cudowne odnalezienie się rodzeństwa. Gazety wiedeńskie donoszą o niezwykłym wypadku. W r. 1914, po zdobyciu Lwowa przez Rosjan, rodzina kupca Kolińskiego ze Lwowa schroniła się do Czechosłowacji, gdzie następnie zamieszkała. W czasie ucieczki zginął 6 letni synek Józef i mimo długotrwałych poszukiwań nie można go było odnaleźć. Dziecko zagłodzone i zmarznięte znalazł na gościńcu pewien oficer austrjacki i oddał do domu podrzutków. Mały Józio wychował się pod nazwiskiem Krieger i obecnie jest urzędnikiem wielkiej firmy handlowej w Passawie. Przed kilku tygodniami udał się w interesie swej firmy do Czechosłowacji i poznał tam 17-letnią panienkę. Młodzi ludzie zaznajomili się do tego stopnia, że niebawem mieli stanąć na ślubnym kobiercu. Pewnego dnia narzeczony zauważył u narzeczonej złoty medaljon, przedstawiający Matkę Boską Częstochowską. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że podobny medaljon posiada sam z czasów okrytego tajemnicą wczesnego dzieciństwa. Dalsze badania wykazały, że narzeczoną Kriegera jest jego rodzona siostra. W ten sposób medaljon Matki Boskiej Częstochowskiej przywrócił rodzicom utraconego syna i udaremnił straszną tragedję rodzinną. Zaiste, cudowne są drogi Opatrzności Boskiej!

Wybory gminne na Śląsku czeskim. W ubiegłym tygodniu odbyły się w szeregu gmin na Śląsku czeskim wybory. Najwięcej uwagi zasługują wybory w Karwinie, gdzie walka o burmistrzostwo toczy się już od lat 8, a władze nie chciały zatwierdzić kilkakrotnie wybranego burmistrza polskiego. Przy obecnych wyborach utrzymali Polacy swój dotychczasowy stan posiadania, zyskując 16 mandatów, na ogólną ilość 42. W Stonawie otrzymali Polacy 16 mandatów, komuniści polscy 8, zaś Czesi 6. W Lutyni otrzymali Polacy 15 mandatów, Czesi również taką samą ilość. W Darkowie Czesi stracili 5 mandatów, tak, że Polacy mają obecnie 19 mandatów, Czesi 9, a Niemcy 2. W mniejszych gminach Polacy otrzymali: w Wierzniowicach 7, Czesi 8, Dziećmorowicach Polacy 3, w Gruszowie dwa polskie mandaty.

Ojcobójstwo. Aresztowany syn hr. Stolberg Wernigerode, ordynata janowickiego, o którego tajemniczem

zamordowaniu donosiliśmy w poprzednim numerze „Roli“, przyznał się do zabicia ojca. Zeznał on jednak, iż zabił swego ojca podczas nieostrożnego manipulowania ze strzelbą myśliwską.

Skutki mrozów. Donoszą z Berlina: Dopiero obecnie w okresie tajania śniegów można stwierdzić, jak wielkie szkody wyrządziły w Szwarcwaldzie silne mrozy. Przedewszystkiem odbiło się to na stanie dziczyzny. W jednej miejscowości z pod stopionego śniegu ukazało się około sto młodych saren zmarzniętych podczas ogromnych mrozów. Spodziewają się, że stan zwierzyny spadnie do 50 proc. normalnej ilości.

Fatalna pomyłka. Pewien robotnik na Śląsku pruskim, wracając z pracy wieczorem na rowerze, zauważył w ciemności zbliżające się dwa światła, a sądząc, że to dwaj rowerzyści nadjeżdżają, chciał przejechać pomiędzy nimi.



Tymczasem był to oświetlony z obu stron wielki wóz ciężarowy cicho po ubitej i piaskiem wysypanej drodze jadący. Robotnik z całą siłą najechał na dyszel i wpadł pod konie, które go potratowały. Ciężko rannego przewieziono do szpitala, gdzie walczy ze śmiercią.

Pożar okrętu. W ubiegłym tygodniu w jednej z największych stoczni niemieckich w Hamburgu spłonął olbrzymi okręt pasażerski „Europa“, będący już na ukończeniu, nad którym pracowało trzy tysiące robotników. O 3 nad ranem zauważono odrazu w kilku miejscach ogień, który odrazu zaczął się szerzyć z ogromną szybkością. Rzucono się na ratunek, ale płomienie, które szalały wewnątrz, rozpaliły metalową powłokę do czerwoności, a nawet do białości, utrudniały wszelką akcję. Wobec tego spłonął niemal cały okręt. O rozmiarach okrętu może świadczyć jego pojemność, wynosząca 46 tysięcy ton, oraz koszta budowy, które doszły do 50 miljonów marek niemieckich, czyli przeszło 100 miljonów złotych.

Wybory we Włoszech. W ubiegłym tygodniu odbyły się wybory do parlamentu włoskiego. Faszyści, popierający Mussolineigo, otrzymali 8 miljonów, 506 tysięcy, 576 głosów, podczas gdy jego przeciwnicy tylko 136 tysięcy 198 głosów. Wobec tego rząd odniósł olbrzymie zwycięstwo.

Katastrofalna powódź. Z Nowego Jorku donoszą: Straszliwa katastrofa, która nawiedziła południowe stany Ameryki Północnej ogarnęła obecnie również stan Tennessee, gdzie cały szereg miejscowości zostało zalanych. Rzeka Emery wezbrała tak nagle, że mieszkańcy miasta Harryman, uciekając, nie zdołali pozabierać najpotrzebniejszych rzeczy. Kilka domów zostało porwanych przez fale, a wiele podmytych zwaliło się. Wszystkie fabryki w mieście i okolicy zostały unieruchomione. Czerwony Krzyż wysłał kolumny ratunkowe w górzyste okolice Harrymanu, gdzie schronili się mieszkańcy miasta. Również rząd podjął akcję ratunkową, wysyłając oddziały wojskowe. Znajdująca się w pobliżu wycieczka 18 skautów amerykańskich została porwana przez fale. Skauci nocowali pod namiotami na małej wysepce, położonej na rzece White Creek i zostali nagle zaskoczeni powodzią. Rzeka wezbrała tak szybko, że śpiący skauci zauważyli powódź w chwili, gdy zostali zalani wodą. Namioty zostały porwane przez rwący nurt wody, a wszyscy skauci utonęli. Panujące w stanach Alabama, Georgia i Karolina powodzie, gwałtowne orkany i oberwania chmur poczyniły wielkie szkody. W miejscowości Merrilton zostało zabitych 5 dzieci murzyńskich. Jedno z nich porwał wicher, poniósł na dość znaczną odległość i rzucił o ziemię.

Pęknięcie tamy rzecznej. Miasto Alba w Ameryce nawiedziła straszna katastrofa powodzi, żywo przypominająca zeszłoroczny wylew Mississipi pod Nowym Orleanem. Olbrzymia tama, zamykająca w odległości 8 klm. od miasta rzekę Tea, nie wytrzymała naporu wezbranych wód i pękła. Spiętrzone masy wody runęły na pobliskie miasto, zalewając do wysokości 5 metrów całą dzielnicę handlową. Mieszkańcy nie zdołali opuścić swych domów i schronili się na górne piętra, bez możności opuszczenia ich, gdyż woda aczkolwiek powoli ale stale się podnosi. Gubernator stanu Alabama wezwał ludność okolicznych powiatów do ratowania zagrożonych mieszkańców Elby. Na miejsce katastrofy wyruszyły oddziały wojska i kolumny sanitarne.

Z tęsknoty za więzieniem. Piękna rozwódka z Nowego Jorku 23-letnia George W. Newman została zaaresztowana w wielkim magazynie w chwili, kiedy chciała zapłacić za poczynione zakupy 20-dolarowym czekiem bez pokrycia. Ta młoda dama oddawna była pilnowana przez tajną policję magazynu. Przyprowadzona przed szefa policji i zapytana o nazwiska wspólników odpowiedziała:

— Nie mam żadnych wspólników. Sama przygotowuję czeki i jest ich już w obiegu za 50 dolarów. Jestem zadowolona, że nareszcie mnie aresztowano.

Zdziwiony policjant zapytał, czy mówi serjo.

— Najzupełniej! — odpowiedziała. — Nudzę się okropnie. Życie jest podłe. Od lat czterech noszę się z myślą samobójstwa. Następnie zdecydowałam się pójść do więzienia i nareszcie dopięłam swego. Jeżeli mnie dzisiaj puścicie, to jutro zamorduję kogokolwiek, bo wiem, że wówczas mnie już nie uwolnią.

Należy przypuszczać, że gdy sobie posiedzi w więzieniu czas jakiś, zmieni swe dotychczasowe zdanie.

Pomnik krowy. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w mieście Seattle, wystawiano i odsłonięto w tych dniach jeden z najoryginalniejszych pomników w nowożytnych dziejach świata. Jest już zdaje się w Anglji i Francji parę pomników dla zwierząt, ale są to przeważnie pomniki dla bohaterskich psów, które czynami, podobnemi do ludzkich, przysłużyły się ludzkości przez ratowanie tonących czy zabłąkanych i t. d. Pomnik jednak w Seattle jest pomnikiem dla zwierzęcia nie za jego „szlachetność“ lub odwagę — lecz poprostu za pożyteczność i produktywność. Jest to mianowicie pomnik dla krowy 12-letniej (a więc „zgasłej“ prawie w kwiecie wieku“), która odznaczyła się wielokrotnie jako „mistrzyni“ w wydajności mleka. Pomnik wyrzeźbił Fryderyk Potter, bardzo utalentowany i znany rzeźbiarz zwierząt. Nasuwa się tu pewna refleksja: jeżeliby cywilizacja nasza zaginęła, a uczeni jakiejś przyszłej cywilizacji, dokonując wykopalisk, odnaleźli pomnik tej krowy, powstałaby hipoteza, że biali Amerykanie czcili „świętą krowę“, jak ongi starożytni czarni Egipcjanie świętego byka Apisa. Czy uczeni ci byliby tak dalecy od prawdy?

RZECZY CIEKAWE.

Jak powstała igła.

Niejeden z naszych Czytelników nie wie, ile potrzeba pracy, zanim z kawałka stali zrobi się maleńką igłę.

Najpierw ze sztaby stalowej trzeba zrobić drut. W tym celu przeciągają tę sztabę, kolejno przez grube blachy z coraz mniejszymi otworami. Przeszedłszy przez jedną blachę, sztaba staje się cieńszą, a dłuższą; przechodząc przez otwór z drugiej blachy, który jest jeszcze mniejszy, sztaba znowu staje się cieńszą i tak dalej, dopóki z grubego kawałka stali nie zrobi się długi i cienki drut. To się nazywa — wyciąganie drutu.

Drut rozwija się na bębenki drewniane, podobne do tych szpulek, na których okręcone są nici, tylko znacznie większe.

Potem robotnik rozcina ten bębenek z drutem na dwie połowy wzdłuż i w ten sposób otrzymuje dwa pęczki drutu.

Następnie każdy z tych pęczków niosą do osobnej maszyny, która je prostuje. W tym celu wiążą je w paczki, mające po pięć do sześciu tysięcy sztuk drutu i mocno ściskają je maszyną.

Po wyprostowaniu każdy kawałek przechodzi do szlifiarza, który zaostrza go na obu końcach. Później uderzają młoteczkiem, spłaszczają każdy kawałek na samym środku, a następnie robią w tem miejscu spłaszczonem dwie dziurki na uszka.

Potem przecinają każdy kawałek na dwie części i otrzymują z niego dwie igły, każdą z uszkiem i końcem.

Na tem nie koniec jeszcze, bo trzeba igły jeszcze zahartować, żeby były mocne. Zanoszą je więc do osobnego pieca, ogrzewają tam mocno, a potem powoli je ostudzają.

Ale uszko igły jest jeszcze chropowate, niełądne. Inny więc robotnik bierze igłę i robi w niej mały brzeżek, otaczający uszko i ułatwiający włożenie nitki.

Potem igły jeszcze raz hartują, rozgrzewając je do czerwoności i zanurzając raptem w zimną wodę. Następnie wygładzają igły, nacierając je delikatnie proszkiem z kamienia, zwanego szmirglem; wreszcie po oczyszczeniu i obtarciu, dobierają tuzinami podług grubości, wkładają w numerowane paczki — i dopiero rozwożą je na sprzedaż!

Przy tych robotach, każda igła musi przejść przez ręce stu robotników; wyrabiają ich zaś takie mnóstwo, że w niektórych fabrykach angielskich sto miljonów igieł gotowych co godzinę wychodzi.

Bajki o zwierzętach.

Powszechnie opowiadają ludzie różne nieprawdziwe historje o zwierzętach i, niestety, bredniе te utrzymują się i znajdują wiarę, chociaż każdy może się przekonać o ich bezpodstawności.

Tak np. utrzymuje się bajka o śpiewających myszach. Tymczasem fakt polega na tem, że mysz w pułapkę schwytana wydaje czasem charakterystyczny głos trwogi, niemiły dla ucha pisk. Stwierdzono ponadto, że myszy chronicznie chorują na katar oskrzeli i wydają wskutek tego charakterystyczne rzężenie.

Inna bajka twierdzi, że małpy zastąpić mogą służbę domową. Jest to zupełna nieprawda; małpy są szczególnie trudne do tresury, nawet w cyrkach rzadko oglądać można tresowane małpy, przytem są one bardzo niepewne i zawsze złośliwe.

Zupełnie nieprawdziwą jest wersja, że słoń boi się myszy i ucieka z miejsca, gdzie żyją te drobne stworzonka. Dowodnie stwierdzono, że przeciwnie; słoń nawet nie spostrzega obecności myszy, drażni go natomiast kot, jeżeli mu przyjdzie na myśl drapać się po trąbie lub nodze słonia na grzbiet olbrzyma.

Nieprawdą jest, jakoby wąż grzechotnik chwytał się samobójstwa, widząc niebezpieczeństwo bez wyjścia. Wogóle o wężach opowiada się dużo bezpodstawnych historyj, np. że zjadają swe młode w razie niebezpieczeństwa, że wysysają mleko krowy w stajni, że gromadnie spieszą sobie na pomoc, że ująwszy ogon w paszczę toczą się, jak koło w pościgu za nieprzyjacielem.

Natomiast prawdą jest, o czem wielu ludzi nie wie, że bardzo modne skunksy prawie zawsze mają parchy i są strasznie groźnymi roznosicielami tej okropnej choroby.

Przesadne są też wyobrażenia wielu ludzi o inteligencji zwierząt, zwłaszcza o ich zdolności myślenia. To, co skłonni jesteśmy uważać za objaw myślenia zwierzęcego, jest przejawem ich instynktu, działającego ślepo. Przeciwnie obserwujemy powszechnie, że zwierzęta nie zdają sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa, a w chwili niebezpieczeństwa zachowują się wprost bezmyślnie, utrudniając własne położenie, wskutek czego często niepotrzebnie giną. — Obserwować to można zwłaszcza w czasie pożaru. — Najmniej „inteligencji" okazują zwierzęta domowe, a więc te, które przez hodowlę i przebywanie w towarzystwie człowieka utraciły znaczną część naturalnego instynktu.

„Miłosierny" karabin.

Gazety angielskie donoszą z Pretorji, że amerykański kapitan B. Harris dokonał w Transwalu interesujących doświadczeń przy pomocy nowego „litościwego" naboju karabinowego, mogącego ugodzić bez spowodowania śmierci dzikie zwierzęta. Sprawa ta posiada wielkie znaczenie w zakresie dostawy żyjących okazów zwierząt do ogrodów zologicznych świata. W zasadzie nabój wynaleziony przez kapitana Harrisona, jest tylko zwykłą strzykawką podskórną, napełnioną płynem anestetycznym — zawartą w aluminjowej powłoce — i umieszczoną zamiast kuli w naboju — tak, że można nią strzelać ze zwykłego myśliwskiego karabinu. Zwierzę ugodzone doznaje podskórnego zastrzyku, który na pewien czas je obezwładnia, usypiając i umożliwiając bezpieczne uwięzienie. Kapitan Harris swego czasu przeprowadzał swe doświadczenia w Ameryce na zwierzętach domowych. Obecne jego doświadczenia na zwierzętach dzikich, które trudno ująć — dały już jaknajlepsze wyniki. Ostatnio posługiwał się wynalezionym przez niego nabojem dla zdobycia rzadkiego okazu antylopy zwanej „Ritbock", na którą płyn obezwładniający — co do którego wynalazca zachowuje ścisłą tajemnicę — podziałał błyskawicznie. Następnego dnia antylopa nie odczuwała najmniejszych skutków bolesnego strzału. Systemem kapitana Harrisa zaiteresowali się wszyscy dyrektorowie amerykańskich zwierzyńców.

Ile spożywamy w ciągu roku?

Dorosły człowiek zjada przeciętnie w ciągu roku: 30 funtów ryby, 96 funtów mięsa, 9 funtów sera, 37 funtów masła i innych tłuszczów, 400 funtów zboża, 228 funtów kartofli, 98 funtów owoców, 200 funtów jarzyn, 51 funtów cukru, 5 funtów soli, 6 funtów herbaty, 150 jajek, 120 litrów mleka, 720 litrów wody, alkoholu i innych płynów.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Józef Kowalik** w K.: Obydwa nadesłane wierszyki są zupełnie dobre, niestety, tak mało na wiersze możemy poświęcić miejsca, że trudno nam oznaczyć, kiedy je umieścimy. W każdym razie wiersz p. t. „Na rolę" będziemy się starali umieścić w dzisiejszym lub jednym z najbliższych numerów. Daliśmy go już do druku. — **Franciszek Macioł** w S.: Nadesłane utwory dobre. — **Józef Pachołek** w Ch.: Niestety, do świątecznego numeru przyszło już zapóźno. — **Jan Schnee** w Rz.: Wszystkie nadesłane zagadki są dobre; pójdą powoli. — **Wojciech Byczek** w K.: Pan P. W. mieszka w Święcanach poczta w miejscu. W czem się Pan dopatrzył ironji, nie rozumiemy. — **Sittek Franciszek** ze Stonawy: Marek nie otrzymaliśmy, czeskie są dla nas bezwartościowe i właśnie na kalendarz posłaliśmy Panu czek. Prenumeratę ma Pan zapłaconą do półrocza. — **Kazimierz Mayko** z Bukowiny (Rumunja): 200 lei nadeszło jakoteż obecnie 120. Żądane karty posłaliśmy. — **Walenty Pasierb** w Cz.: Rozumiemy dobrze Pana, bo któż nie odczuł skutków wojny, a i teraz w Polsce niejedno jeszcze nie tak jest, jak być powinno. Wiele rzeczy inaczejby wyglądało, gdybyśmy żyli ze sobą w zgodzie, a nie włóczyli się za łby, a co jeszcze ważniejsza nie słuchali rzekomych przyjaciół ludu. Niestety, tak nie jest, a wiemy to z własnego doświadczenia. Jeżeli jakaś gazeta napiętnuje czyjeś zdrożne postępowanie, to zaraz tak zwani „polityczni" jego przyjaciele ujmują się za nim, zamiast błąd jego uznać. Co do zamilknięcia owych trzech wspomnianych osób to tak nie jest, jak Pan pisze. Jedynie Kuraś rzeczywiście zamilkł z ogromną szkodą dla literatury. Jednego z pozostałych dwóch utworów nie drukujemy, gdyż okazał się człowiekiem nielojalnym, a nawet po części plagjatorem. Drugi pisze dużo, ale prac swych nie wykańcza, przeto przesyła rzeczy słabe lub wymagające znacznych poprawek, na które my nie mamy czasu, leżą one przeto w tece, nie oglądając farby drukarskiej. Za pamięć i życzenia serdecznie dziękujemy. — **Piotr Leśniak** w M.: Wierszyki, jak zwykle, dobre. — **Jan Smaza** w Z.: List otrzymaliśmy już po zamknięciu numeru, dlatego nazwiska nie było. Siostrze wysyłamy „Rolę" od Nru 9 regularnie. — **Andrzej Dej** w W.: Słuszne Pańskie uwagi i ja stale tego żądam, ale to nietylko odemnie zależy. Wierszyki zupełnie dobre. — **Stefan Jaworski** w P.: Czek na rocznik 1927 przyszedł i rocznik został posłany, na rocznik 1928 jeszcze nie nadszedł. Prosimy napisać, kiedy nadał Pan pieniądze? Wiersz kolegi bardzo dobry, ale już tyle mamy utworów o wiośnie, że nie wiemy, czy zdołamy choć małą część z nich pomieścić. — **Maryla „Widz"** w O.: Za kurczątko i życzenia dziękujemy. — **Rudolf Toboła** w St.: W poprzedniej korespondencji musiał Pan wspominać o roczniku 1928 i dlatego posłaliśmy Panu czek wypełniony z napisem „Na rocznik 1928", a po wpłaceniu i nadejściu czeku wysłaliśmy. Innych wydawnictw my nie mamy. — **Marja Wawrzykówna** w P.: Numera powtórnie przesłaliśmy i przed świętami Pani otrzymała. Załączamy pozdrowienia. — **Wincenty Stach** w O.: Szukaliśmy, ale bez skutku. W Polsce niema takiej fabryki, więc cło na te przedmioty drogie, sprowadzają tylko mniejsze, łatwiejsze do zbytu. O Biblję niech się Pan zwróci do księgarni Mackowa w Rożniatowie. Ogłoszenie na okładce. Cześć!

Unieważnia się skradzioną książeczkę wojskową, wydaną przez P. K. U. w Nowym Targu na nazwisko Józef Halota, urodz. 1898 w Rupniowie, pow. Limanowa.

Unieważnia się skradzioną książeczkę wojskową wraz z kartą mobilizacyjną, wydaną przez P. K. U. w Tarnowie na nazwisko Franciszek Sucharski, urodz. w roku 1900 w Borusowy, pow. Dąbrowa.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożyła „Studentka" z Tarnowa).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto we Włoszech.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ceremonja.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Owoc.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rodzaj małpy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd do pisania.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Andrus.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Objaw atmosferyczny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Utwór poetyczny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Półwysep we Włoszech.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Afryce połud.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Gonitwa.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspy na oceanie Spokojn.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Dzikie zwierzę.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Ameryce Półn.

Litery początkowe wyrazów, czytane zgóry na dół dadzą nazwę kraju w Australji.

2. Szarady.

(Ułożył Fr. Macioł z S. B.).

I.

Piąte pół pierwsze raz do roku bywa,
Brzmią piosnki wkoło wśród drugie i czwar- [te
Bawią się w polu chłopcy piąte czwarte
— Wtem się od lasa jakiś głos odzywa
Pędzi zwierz jakiś, robiąc susy długie —
(Zwiesiwszy na dół wstecz trzecie wstecz [drugie),
— Prosto na chłopców, lecz ci zuchy byli
Stanąwszy razem zwierza odpędzili;
Gdy drugie z pierwszą kamieni rzucili.
Pod lasem Maciek zagania „ogony",
Czwarte fujarką gra na wszystkie strony,
Czuje uczucia jakieś dzisiaj szczersze,
A więc się nie dziw, że wygrać chce pierw- [sze.
Maciek nie ciemię! Piąte wiadomości!
Posiada nawet znaczenie całości,
On wie, że całość nazwą miasta będzie,
Lecz nie chciał mówić. Proszę szukać [wszędzie.

II.

Pierwsze i piąte miarą będzie
A samo drugie rzeka znana,
Trzecie zaś z piątem znacie wszędzie,
Do muzyki jest używana,
Gdy damy drugie i pół trzecie
Mamy nazwisko znane w świecie.
Trzecie i czwarte w wodzie żyje,
Z wędką na niego się poluje.
Pół czwarte i wstecz trzecie
To nazwa rzeki znanej w świecie.
Całość to imię, ot koniec szarady,
Proszę pomyśleć niema innej rady.

3. Zagadki.

(Ułożył Wojciech Ciepiela z B.).

I.

Wprost wyznawca Mahometa,
Wspak to książka lub gazeta.

II.

Wprost nam znany z „Trylogji",
Wspak do złych go liczym bestji.

III.

Czy wprost czy wspak jest czytany,
Do przewozu używany.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył „Ben Chorin").



Okres czasu.
Część ciała u zwierzęcia.
Tygodnik.
Chmura po hebrajsku.

Poziomo i pionowo.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 13 b. m.

Ponieważ druk niniejszego numeru „Roli" z powodu świąt Wielkanocnych musieliśmy nieco przyspieszyć, przeto nie podajemy ani znaczenia zagadek z Nr. 12 „Roli", ani nazwisk tych, którzy rozwiązania te nadesłali, gdyż zapewne jeszcze w oznaczonym terminie a po wydrukowaniu niniejszego numeru rozwiązania jeszcze nadejdą, wobec czego niektóre z nich byłyby pominięte. Rozwiązania więc zagadek z Nru 12 „Roli" i nazwiska tych, którzy te rozwiązania nadesłali podamy w przyszłym numerze.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Karciarz.

Pan Wincenty gra w karty. Wpada ktoś zdyszany i woła:

— Panie Wincenty, żonę pańską przejechał samochód!

— No to dalej śpieszmy się! Jeszcze trzy razy dookoła i muszę pójść do domu!

Fachowa odpowiedź.

Dama: — Panie leśniczy, niech mi pan powie, dlaczego psy myśliwskie podczas biegu zazwyczaj wywieszają język?

Leśniczy: — To dlatego, proszę pani, że chcą zachować równowagę ze zwisającym ogonem.

Oczywiste.

Pewien pan, gotując się do konnej jazdy, zażądał od służącego butów.

— Dlaczego nie oczyszczone? — zapytał.

— Przecież i tak pan je zabrudzi podczas jazdy. Myślałem — że nie warto czyścić.

W chwilę potem zażądał służący klucza od kredensu.

— A po co? — zapytał pan domu.

— Chciałem zjeść śniadanie.

— Przecież będziesz i tak głodny za dwie godziny, więc pocóż jeść teraz — brzmiała odpowiedź.

Trafne określenie.

— Dlaczego mówisz, Wojtek, że ja przez całe życie byłem i jestem instrumentem?

— No pomyśl — w dzieciństwie byłeś bębnem, potem cymbałem, a na starość jesteś trąbą.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 29 marca b r

Pszenica .	48·50—49·50	Słoma długa	10·00—11·00
Żyto .	35·00—35·50	Ziemniaki stoł.	0·00— 0·00
Owies . .	36·50—37·50	Koniczyna nasienn. czer.	220·00—250·00
Jęczmień .	34·00—35·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	51·50—53·00
Groch zwyk.	60·00 - 65·00	Mąka pszen.	77·00—78·00
Siano słodk.	23·00 - 25·00	Otręby pszen.	29·00—30·00
Łubin żóły	00·00—00·00	Otręby żytnie	26·50—27·00
Koniczpastew.	32·00—34·00	Mąka czerw.	34·00—35·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 29 marca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·12 do 1·66 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·75 zł.
Woły . .	od 1·20 do 1·77 zł.	Cielęta .	od 1·14 do 2·20 zł.
Krowy .	od 0·85 do 1·65 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·10 do 2·51 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·60 do 3.20